



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rs. 7 kop. 20; półrocznie rs. 3 kop. 60; kwartalnie rs. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rs. 2 kop. 50; półrocznie rs. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska № 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartaln. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

KULT PRAWDY.

podług dr. Melegari.

streściła

P. Grodzieńska.

beena epoka dla wielu dusz ludzkich stanowi chwilę przełomu, z którego wytworzyć się może ogólna cześć dla prawdy, wyznawanej dotychczas przez tak małą część społeczeństwa, że wpływ jej nie mógł zaważyć w kolejach świata. Długa praca wewnętrzna, zdradzająca się rzadko zewnętrznymi objawami, przygotowywała owe dusze ludzkie do rozwoju pojęć, niedostatecznie dziś jeszcze ujawnionych. Skomplikowane te pojęcia dadzą się streścić w kilku wyrazach: bunt przeciw kłamstwu, zamiłowanie prawdy. Jądro tych pojęć zawiera pierwiastek istotnego w zakresie moralnym postępu.

Rzeczywiście, gdy w naturze wszystko zwraca się ku światłu, człowiek jedynie odwraca się od niego, jakby ów blask raził jego oczy i zamącał jego spokój.

W bajecznych już czasach naga prawda prze-
rażała tłumy, uciekające przed nią w popłochu. Objaw ten powtarzał się w ciągu długich wieków i dziś jeszcze ludzie bez wstrętu oddychają miazmatami fałszu i uludy. W naszej epoce dopiero gorliwe poszukiwanie prawd naukowych wykazało kłamliwe podstawy, na których opierało się życie tak całych społeczeństw, jak i jednostek. Poczucie wszelako tego kłamstwa nie przeniknęło dostatecznie do głębi serc ludzkich. Usiłowa-
no wydrzeć ziemi jej skrytości, niebu jego taje-

mnice, a poprzestawano na fałszu w życiu towa-
rzyskiem i społecznym.

Rusztowanie jednak kłamliwych wyobrażeń ro-
zbiła czujność ludzkiego sumienia; prawda znalazła szczerych wyznawców. Światło ukazało się człowiekowi jako potęga cudowna, godna naj-
wyższych poświęceń i ku owemu światłu zwrócił się prąd życia. Choćby ten ruch ograniczyć się miał tylko do liczby kilku wybranych umysłów, wywołane nim fakty zajęłyby niepoślednie miej-
sce w dziejach psychologicznego rozwoju ludzkości. Stanowiłoby to zwrot ku prawom Bożym i prawom przyrodzonym w społeczeństwie.

Dla utrwalenia tak pożądanego zjawiska mo-
ralnego należałoby przekonać człowieka, jak nie-
dorzecznem, czczem, jak nawet niebezpiecznem jest kłamstwo, w którym miał dotychczas upodo-
banie, jak przeciwnie dobroczynną bywa prawda, która upakarza czasami, ale częściej pociesza i uszczęśliwia; należałoby przypomnieć zwłaszcza ważność obecnej chwili, gdy świat nowy wyłania się z wnętrza ziemi, a człowiek chcąc w nim żyć, siłą musi opasać biodra i umocnić nogi swo-
je i nie mógłby stąpać pewnym krokiem po chwiejnym gruncie fałszu i złudzenia.

I.

Nie nie jest rzadszem, jak prawda.

Spencer.

Ludzkość wiecznie dla siebie pożądać będzie szczęścia—to wrodzone każdemu pożądanie, jest tak silne, że człowiek umierając, je jeszcze od-
czuwa. Różnica w tem zachodzi tylko, że jedni szukają spełnienia owego szczęścia na ziemi, dru-
dzy spodziewają się jego urzeczywistnienia poza grobem. W każdym razie istota ludzka altru-
istycznie czy egoistycznie pragnie pomyślności, a unika cierpienia.

Doświadczenie jednak przebytych wieków na-
uczyło nas, że jeśli bywają szczęśliwe chwile, to nie może być bezwzględnie szczęśliwego życia. Świadomość ta przecież nie powstrzymuje pogo-
ni człowieka za szczęściem, a prawo ciągłego po-
stępu budzi w nim wiarę w polepszenie stopnio-
we warunków bytu. Cudowne odkrycia nauko-
we, rozpowszechnienie wynalazków, rozwijające się poczucie solidarności ludzkiej pozwalają przy-
puszczać, że przyszłość przyniesie ulgę w mate-
rialnych cierpieniach ludzkości, a każdemu wy-
dzieli należną mu w życiu czaść światła i cie-
pła. Nadzieje te również rozciągać można do
indywidualnych, psychologicznych warunków ży-
wota. Widnokreśli szersze dostępne dla umysłów,
trafniejsze ocenienie wartości rzeczy, uwolnienie
się od tłoczącego uczucia bezradności, usuwane-
go ogólną solidarnością ludzką, dadzą człowieko-
wi możność nie zupełnego wyzwolenia się od cier-
pień, będących warunkiem głównym udoskonale-
nia, ale zapanowania nad niemi i w chwilach fol-
gi od nich używania przyjemności życia.

Ulepszeniem materialnym w egzystencji czło-
wieka, musi odpowiadać udoskonalenie moral-
ne do którego każdy dojść może jedynie pra-
cą własnego sumienia. Potrzeba wysiłku woli na
to, aby człowiek wszedł na drogę rokującą mu
względna pomyślność w przyszłości. Jest to
pierwszy krok inicjatywy osobistej; drugim bę-
dzie usunięcie z tej drogi przeszkody przystęp
do niej utrudniającej, którą stanowi kłamstwo we
wszelkich ponętnych lub też wstrętnych formach.

Większa część trudności napotykaných przez
człowieka, wyrządzających mu nie obliczone
krzywdy moralne, marnujących jego siły, bie-
rze źródło w zaniedbywaniu prawdy, a nadu-
żywaniu fałszu i blichtru. Wyradzające się
ztań przesady niszczą w nas poczucie spra-
wiedliwości Bożej: „Gangrena kłamstwa zabija
nas” dowodzi Ibsen, ale w tem kłamstwie upa-

truje niby fatalizm, narzucony jednostce przez ogół społeczeństwa. Mówimy tu o kłamstwie czynu raczej, niż o kłamstwie słowa, które niekiedy staje się obowiązującym. Jeśli dla wyjścia z ciężkiego położenia, dla ratowania siebie lub drugich powie się *nie* zamiast *tak*, to lubo na dnie takiego kłamstwa zawsze tkwić musi grzech własny lub cudzy, nie kała ono tak dalece duszy człowieka. Natury prawe tyle cierpią nad koniecznością użycia kłamliwego wyrazu, że to samo jest już dostateczną karą za przymusowy nie-raz błąd, w taki sposób popełniony.

Kłamstwa konwencyjonalne z grzeczności, wyrażające żal lub szacunek, których się nie odczuwa, gdy odmawiamy zaproszenia na obiad lub podpisujemy zwykłą końcową formułę listu, są tylko złemi nawyknięciami towarzyskimi, nieprzynoszącymi ujmy szczeroci uczuć naszych i nie oszukującymi nikogo. Wtedy tylko stałyby się mogły szkodliwe, gdybyśmy, nadając im przesadne znaczenie, usiłowali ubarwiać je pozorem prawdy.

Są jeszcze kłamstwa, wypływające z miłości bliźniego, kiedy wypowiedzenie prawdy równać się może okrucieństwu i ludzie najsumienniejsi zmuszeni są przysłać, łagodzić, formę a nawet treść swoich myśli.

Kłamstwa z pobudek próżności popełniane ściągają na popełniających je śmieszność i świadczą o ich skłonności zbaczania z prostej drogi w życiu. Gorszem jeszcze jest kłamstwo, wynikające z tchórzostwa, gdy szukamy w niem uniewinnienia grzechu lub zaniedbanego obowiązku, dowodzi bowiem, że fałsz przestał budzić w duszy naszej odrazę.

Niezliczone są kategorie kłamstw ustnych, zaczynając od kłamstwa popełnianego ze współczucia dla drugich, kończąc na kłamstwie szerzącym potwarze, które tyłu leż i tyłu nieszczęście było już przyczyną. Więcej wszelakoż od nich złego wyrządziły ludziom kłamstwa czynu. One to, fałszując myśli i uczucia, zatruwają atmosferę i sfałszowałyby nawet prawa przyrodzone, gdyby natura nie miała przeciw temu dostatecznej siły odpornej.

Chęć wydania się za co innego, niżeli się jest w rzeczywistości, stanowi charakterystyczne kłamstwo naszej epoki. Wślad za niem posypały się różne inne fałsze, jak syją się perły z przerwanego naszyjnika. Obecnie, gdy tak zło, jak dobro szerzy się prędko, nieograniczone żadnymi przywilejami kastowości, upodobanie w fałszywych pozorach przybrało rozmiary, wyrządzające w sumieniach ludzi nieobliczone szkody.

Moralisci tegocześni przypisują w większej części tę ułomność zbyt niemu zamiłowaniu w dostatkach materialnych. Żądza bogactw—mówią—wysuszyła wyobraźnię i serce; plutokracja przytłumiła ideały. Niewątpliwie, chęć posiadania i błyszczenia nadaje rzeczom w pojęciach ludzkich fałszywą wartość. W każdym razie jednak żądza bogactw, żądza świetnego stanowiska, żądza przyjemności materialnych jest pożądaniem jakiejś rzeczywistości i nie nadaje życiu fałszywych podstaw. O ileż odmienny duchowy poziom tych, którzy, poprzestając na pozorach, ulegają bez oporu niedorzecznościom i przesadom, byle blask ich padal z góry.

Nie wspomnielibyśmy o tej objawiającej chorobę umysłową chorobie *snobizmu*, gdyby nie szerzyła się z taką szybkością i nie przedostawała się nawet w środowiska, gdzieby powinna znaleźć dla siebie grunt niepodatny, a gdzie obniża charakter, krzywi sąd moralny, zaciemnia umysł, dostarczając w zamian błachego zadowolenia próżnostek. Ludzie światli, niezależni w zdaniu swoim— a na tych nie zbywa jeszcze — na te objawy lekceważąco ruszali ramionami, nie zwracając uwagi na niebezpieczeństwo owych chorobliwych mikrobów. Gdy oczy im się otworzyły, rozpowszechniona zaraza dotykała nie tylko towarzyskie koła światowców, ale dosięgała sztuki, literaturę, naukę, patriotyzm, religję nawet. Popchnęła ludzi do służalczego naśladownictwa, do ustępstw niegodnych, do bluźnierstw i nikiemości.

Niemniej niebezpiecznym czynnikiem fałszu jest nietolerancja. Jeśli niegdyś była objawem potrzebnej siły przy zawiązywaniu pierwotnych organizacji, dziś historyczna jej rola za szkodliwą i skończoną uważaną być musi. Nie jest zadaniem współczesnych pokoleń wskrzeszać minione wieki; muszą one żyć życiem obecnej epoki, stosować się do jej potrzeb, nie tamować jej postępów. Owoż nietolerancja z jakichkolwiek pobudek przeciwną jest duchowi naszych czasów. Dziś wszystko znać, wszystko przedyskutować potrzeba; nie można zatajać błędów i słabości stronnictwa swego lub nie uznawać, co dobrem, rozumem, sprawiedliwym u swego przeciwnika.

Swoboda i światło nauki nie godzą się z nietolerancją, choćby ta ostatnia przybierała formę patriotyzmu i religijności. Prawdziwy patriotyzm i prawdziwa religja gardzą wszelkim uciskiem. Człowiek, który nie kocha innych narodów, nie będzie umiał kochać swoich współziomków; patriotyzm jego będzie tylko pychą i samolubstwem. Człowiek, który w imię Boga nienawidzi bliźnich, uchybia najgłówniejszym zasadom wiary Chrystusa, ma mniej uczuć chrześcijańskich od ateusza i obcy mu zupełnie duch Ewangelii. Oczy nasze w obecnej epoce przywykły już do światła prawdy, a przytem światło nietolerancja odpada sama z siebie, jak łachman zużyty, którego dobrowolni zaślepieni jedynie czepiać się jeszcze mogą.

Plodem nietolerancji są przesady. Niektóre wśród nich bywają nieszkodliwe, niekiedy nawet pożyteczne, większość ich jednak na niedorzeczności i fałszu oparta. Ze świadomością wszelakoż ich bezzasadności składa im się ofiary: „Ja wiem, że to przesada, ale lubię takie przesady.” I na mocy tego dowodzenia dopuszczają się ludzie podstępnych, niegodnych czynów. Kobiety zwłaszcza celują w tych szermierkach; rozsądniejsza buntują się chwilowo, ale oburzenie ich nie trwałe i godzą się z utartą kłamliwą formułą, zamiast dochodzić prawdy, którąby zwalczała zle zakorzenione.

Po tej pochyłości *snobizmu* nietolerancji, przesadów najuczciwsi ludzie dochodzą z czasem do zupełnego zatarcia wrażliwości sumienia. Przesiadki kłamstwem, nie umieją już oddychać w czystej atmosferze prawdy, choć wiedzą, że są w błędzie, nie starają się go sprostować z obawy, iżby nie byli zmuszeni obrać przeciwną drogę osobistym interesom, szkodliwym przesadom, niedorzeczemu pragnieniu uchodzenia za co innego, niżeli są w rzeczywistości.

Zła wiara, objawiająca się dziś tak często w stosunkach społecznych, jest tylko logicznym następstwem owych kłamliwych zasad, praktykowanych w życiu. Nie mówimy tu o złej wierze karanej artykułami kodeksu, ale o takiej, którą uczciwie nawet ludzie popierają słowem i czynem. W polityce, w prasie, w sprawach publicznych, we wszystkich stosunkach społecznych bywa ona podstawą wzajemnych tranzakcji. Nie mniejszą rolę odegrywa w życiu prywatnym. W rodzinie nawet, tej najmniej może spazzonej, bo opartej na prawach przyrodzonych organizacji społecznej, ileż napotykamy złej wiary! Ileż kłamliwych rozmów i postanowień! Młodzież, widząc fałsz popierany przez tych, których najwięcej szanować powinna, zaprawia się zawczasu do obłudy i kłamstwa. Czy chodzi o wybór powołania, czy o małżeństwo, wszędzie widoczna chęć obejścia prawdy. Zwyczaj oszukiwania samych siebie i drugich jest tak w korzeniony, że ludzie sobie nawet niedowierzają i nie ufają nikomu.

Obłuda w stosunkach towarzyskich i w życiu prywatnym przybiera różne formy; niemal wszędzie widzimy kłamstwo na honorowym miejscu, tak w życiu pojedynczego człowieka, jak w organizacji całego społeczeństwa. Dlatego też ów gmach społeczny grozi zawaleniem: krokwie, belki żelazne sztaby, wszystko się łamie i usuwa. Człowiek spogląda z obawą na ten rozpadający się w gruzy budynek, zaczyna rozumieć, że pod względem społecznym i moralnym życie swoje

oparł na chwiejnym gruncie i że nie znajduje już dla siebie pożywienia w płodnym niegdyś łonie starej Cybelli.

(Dokończenie nastąpi).



PRZY KOMINKU.

(POGAWĘDKA).

Święty Mikołaj nie zawiódł.

Przyjechał na białym koniu, gęstym śniegiem ziemię przysypał, brylantami mrozu utkał całun biały, przykazując kalendarzowym następcom swoim rozpędzić chmury szare, błękity wyjaśnić i ustalić temperaturę dni następnych.

Rozkaz staruszka został jaknajsumienniejszemu spełniony; ani święty Ambroży, ani święta Walerja, ani Damazy, Łucya czy Euzebiusz, wypełniający tydzień bieżący—nie ośmielili się temu rozkazowi sprzeciwić się, a nie chcąc dać się zbyt łatwo we znaki ludziom, nie przekraczając siedmiu stopni niżej zera, za co, niezaprzeczona, wdzięczność się im należy, bo nas nie trapi chorobotwórcza flaga jesienna, oddychając zaś zdrowem, mroźnem powietrzem, nieodmrażamy sobie uszu i nie kulimy się przy piecach rozpalonych. Na rozgrzewkę wystarczy kominek, a i to najczęściej siadamy przy nim nie tak dla ciepła lubego, jak dla marzeń lubych, bo, doprawdy, że tyle tylko jest szczęścia, co w tych marzeniach, w tym świecie powstałym z nas, stworzonym przez nas, rzeczywistym może, niż rzeczywistość sama, bo nikt go nam nie wydrze, nie nie rozwieje.

Nie śmiejmy się z marzycieli. Gdyby nie sen ich duszy, nie umieli by żyć na świecie,—bo tak czasami na nim jest smutno, beznadziejnie smutno, tak szaro, tak nieprzenikliwie szaro, że—ani serce nie wie po co drży w piersi, ani myśl nie wie po co się w mózgu kołaczę. Jeżeli filozoficznie rzecz biorąc, można zaprzeczyć rzeczywistości nawet otaczającego nas świata, który w takim wypadku nieczem innym nie jest, jak tylko naszym wyobrażeniem, tajemniczym zjawiskiem przez nasze *ja* wywołanem—dla czego rojeniom i snom ważności ich zaprzeczać? dla czego marzycielstwa przyganiać—które, bądź co bądź, jedynem jest pięknem życia? Są może ludzie, którym się życie uściela pasem tężowym, ale—jeżeli są—to takich nie wielu i nikną w tłumie, spragnionym szczęścia.

Cóż robić, ażeby być szczęśliwym? Jaką damy odpowiedź na pytanie poety: „Czy znasz ten kraj, gdzie marzeń czas nie zwiewa? gdzie mimo zim, owoce rodzą drzewa? gdzie słaby krzyk nie trąca piersi męskiej? gdzie wstaje duch do walki wciąż zwycięskiej?” Czy może być inna, niż ta:—„O, bracie mój! niech się twój duch nie zżyma, że świat to snów, że go na ziemi niema. Więc wolę wzmóc, w gorączce prac nie stygnij. Swe serce wzbudź, w swej myśli świat ten dźwignij!”

Ot i zagadka szczęścia rozwiązana—przynajmniej na ziemi.

Ażeby zrozumieć jak duch ludzki, a przynajmniej duch poety doskonalili się i—ażeby być szczęśliwym, by móżdż żyć na ziemi nieszczęście—ażeby to zrozumieć, powtarzamy,—potrzeba z ogromną uwagą i skupieniem odczytać „Listy Juliusza Słowackiego” do matki pisane.

P. Leopold Meyet zasłużył na wdzięczność naszą wydaniem tych *Listów*.

Słowacki był dotąd uważany za fantastę, jego cierpienia nie miały rzeczywistej podstawy, jego miłość nie była szczerą, prawdziwego uczucia, lecz chorobliwym wytworem wyobraźni. Tak mówili ci, którym wiadomem było: że—poeta nasz nie prowadził ciężkiej walki o byt, bo we wszelkie potrzeby zaopatrywała go kochająca matka; że—miłość dwunastoletniego chłopca do

Ludwini, dorosłej już panny, nie mogła być na prawdę, za miłość uważana; że romans szwajcarski był tylko poetycznym zmyśleniem.

To wszystko na pozór jest prawdą, lecz tylko na pozór, bo, największy nawet dobrobyt, nie jest synonimem szczęścia — ba, gdyby nawet nie było widomego przedmiotu, którego by się ukochało: — można cierpieć i kochać: — cierpieć, że świat rzeczywisty, wymarzonemu nie odpowiada — kochać zaś wytworzony przez siebie ideał i ubierać go w tak piękne szaty, jakich życie nie zna, i stawiać na wyżynie niedościgłej dla oka profana.

Ten świat wymarzony, tak odrębny, tak niepodobny do rzeczywistego — uratował ducha Juliusza Słowackiego od rozbicia; ta praca nad sobą, to dążenie wciąż do doskonałości, to łamanie się z więzami otoczenia i czasu — ten ciągły, że tak powiemy, ruch duszy — miał w sobie ogrom potęgi tragicznej, która udzieliła się bohaterom poety i nie była pustą walką z wiatrakami lecz wielkim, zwycięskim bojem życia. Są w duszy naszej złożone wszystkie szczęścia i nieszczęścia — świat tylko sędzi z pozoru, i sędzi najczęściej mylnie.

Czem była dusza Juliusza Słowackiego, wszystkie jej wahania i rzuty naprzód — mówią o tem listy do Matki. A listy te nie były pisane z myślą, że kiedyś przejdą do potomności i będą przez tysiące czytane. Nie! Widzimy tam nieraz żalostną skargę dziecka wyszeptaną na ucho przed matką; widzimy tam spowiedź ze wszystkich czynności i myśli najskrytszych — rzeczy tak zwyczajne, jakimi nie chciałby pisać zabawić ogółu. To wywnętrzenie się zupełne przed „najlepszą z matek” jak ją nieraz nazywał Słowacki — stało się dzisiaj jedynym i najbogatszym źródłem do zrozumienia tego ducha potężnego, jego olbrzymich, bajecznych siłą fantazyj kreacji, jego romanse nad romanse, owianego takim czarem poezji, jakiego niema literatura wszechświatowa, jego przekleństwa rzuczonego *matce matek*, tego szalonego zgrzytu i bólu, które tylko mógł wy dobyć bezmiar cierpienia. Oślawiona duma Słowackiego, po przeczytaniu tych listów nietylko maleje i niknie lecz przemienia się w ogromną pokorę ducha-człowieka, który już pół anielskość posiadał. I nie kłamał, gdy mówił, że jest nieszczęśliwy, bo widział małość w krag siebie i pełzanie bezpłciowych owadów; i nie kłamał, gdy mówił że jest szczęśliwy, bo nie mogąc się ze światem rzeczywistym pogodzić, stworzył w sobie cudowny świat marzeń, który go nęcił wszystkimi urokami, jakich by szukał daremno na ziemi. Łamało go życie, wskrzeszała poezja. I niech błogosławiona za to będzie!

Jak ten czas szybko leci!...

Ani się człek opamiętał, jak jesień minęła, nadeszła zima — a zaledwie dni kilka nas oddziela od świąt Bożego Narodzenia, a parę tygodni za ledwie od nowej daty roku, którym się wiek dwudziesty rozpocznie. Właściwie ten wiek dwudziesty z *końcem* dopiero roku tysiącznego dzie wietsetnego zaczynać się powinien. Każdą liczbę zaczynamy od jedności a na dziesiątce kończymy; każdą setkę kończymy na pełnych dziesięciu dziesiątkach, więc i wiek każdy, który od jedności zaczynać się musi, na okrągłej setce kończyć się powinien. Wiek więc dwudziesty powinien się rachować od liczby 1901 — dlaczego więc rok kradniemy, a kradniemy zupełnie świadomie — to już jest zagadką nie kalendarzowych rachmistrzów, lecz — panów historyków.

Na uczenie nowego wieku, Paryż występuje z wielką Wszechświatową wystawą, z tym potężnym egzaminem całej kuli ziemskiej, przy którym będzie musiała się wypowiedzieć ze swoich cywilizacyjnych dorobków, ze swoich postępów na polu etyki i humanitaryzmu.

Gdyby świat na olbrzymiej swej twarzy nie miał olbrzymiej maski — obludy: to dojrzelibyśmy wielkie płomienie wstępu, któreby go spalić powinny.

Z nastaniem zimy i adwentu, rozpoczął się u nas ruch, mający na celu przyjsie z pomocą rozmaitym instytucjom publicznym. Na rozmaite więc te cele filantropijne, urządzają się rauty,

amatorskie, przedstawienia i „kawy czarne.” Amatorskimi przedstawieniami zawiaduje niezmordowany i wszędobylski (wszędobylstwo nie zawsze być ma rozumiane ujemnie) p. Marjan Gawalewicz. Bo czego się ten człowiek nie ima, gdzie go niema, do jakiej instytucji czy korporacji nie należy? Zakłada się klub szachistów — Gawalewicz jest: „Kuratorjum trzeźwości” pomyślało o Teatrze Ludowym. — Gawalewicz dyrektorstwo jego wziął na siebie; potrzeba skleić i wymusztrować trupę amatorską — jako reżyser zjawia się Gawalewicz, „formuj front!...” i wszystko idzie jak z płatka; dyktanci grają jak artyści skończeni i to nie tylko komedijki lekkie, ale i sztuki większego pokroju.

Ba! gdyby na tem było koniec.

Ale Gawalewicz sięgnął i do starej Hellady i nie zawahał się Sofoklesa ramieniem potraścić i wprowadzić go na deski teatralne — naszej Doliny Szwajcarskiej.

O, Dolino Szwajcarska — tyle mająca podobieństwo do szwajcarskiej doliny, o ile jest podobną furą siana do obeliska przed św. Piotrem w Rzymie stojącym — czyś ty się spodziewała, Dolino! ujrzeć kiedy potężną postać króla Edypa i nie tylko go ujrzeć, lecz go licznemu pokazać tłumowi, nienarzekającemu na ciężar tragedji, nie ziewającemu z powodu długich monologów i — niezrozumianych dzisiaj — chórów?

Jeżeli szanowna publiczność, na dramacie współczesnym, pełnym ruchu i efektów scenicznych, nudzi się niejednokrotnie lub zbyt się rozdrażnia, mówiąc: „mamy dość dramatów w życiu — na scenie więc nam zabawy i śmiechu potrzeba” — cóż z nią się stanie, gdy spokojny, choć pełen grozy, bez żadnych skoków i fajerwerków — dramat grecki, zechce przemówić do niej?

Gawalewicz rozumiał to dobrze — i niechcąc na próby wystawiać cierpliwości słuchaczów, „zmodernizował” arcydzieło Sofoklesa, zamiast nieruchomych chórów, ruch wprowadził — i powiedziawszy prawdę — bez wielkiej szkody dla tragedji staro-greckiej. Rzecz uczynił przystępniejszą i więcej interesującą dla publiczności.

Słyszałem zdanie: że Edypa grać należy albo tak, jak grali grecy, albo nie grać go wcale.

Ale zachodzi tu pytanie:

Jak go grali grecy?

Jeżeli wprowadzone chóry zachować bez zmiany, zachować całą powagę tragedji starodawnej, to jeszcze nam nie da wyobrażenia o sposobie przedstawienia przez Hellenów arcydzieł swoich. Wiadomem jest, że w roli grających, kobiety greckie nie występowały, więc potrzeba byłoby je mężczyznami zastąpić, ubrać w koturny, dać maski na twarze i w odpowiednim otoczeniu bez żadnych kulis postawić. Czy w ten sposób, urządzony widowisko na wzór starogreckiego — nie byłoby dziwowiskiem u nas, u których pojęcie sceny, zmieniło się zupełnie? Czy *Edyp* w masce i na koturnie, a szczególnie *Antygona*, którą by warszawiak przedstawił — nie wywołałby śmiechu w niemogącej się połapać z sytuacją publiczności? Tak więc, jak grano tragedje, niegdys, przed wiekami, pod pięknem, klasycznym niebem Grecji — teraz już grać nie sposób.

Więc jej nie grać zupełnie?

Nie widzę dobrej racji. Coś z Sofoklesa zostanie zawsze, a mianowicie: wypowiedziane myśli, groza boleści i nieźrównana potęga tragizmu. Zresztą, w przedstawieniu u nas sztuk starogreckich, zawsze jednej i nie byle jakiej rzeczy zabraknie: to spadającego kaskadą miarowych rytmów wiersza greckiego, tej muzyki skandowania, której brak naszemu językowi. Wszystko to rozumiał p. Gawalewicz — i z wziętego na siebie zadania, wywiązał się bez zarzutu.

Tak, jak zarząd teatrami amatorskimi i widowiskami ludowymi spoczywa w rękach Gawalewicza, urządzenie rautów i „kaw czarnych”, bierze na barki swoje p. Aleksander Rajchman. Doprawdy nie wiem, czy ktoby tych dwóch panów w pracy podobnej zastąpił, bo nie dość tu mieć dobrą wolę, nie dość *chcieć*, ale i *umieć* potrzeba rzecz całą dobrze zrobić i publiczność do jak najliczniejszego udziału — zachęcić.

Mamy więc rauty bez kaw czarnych i z kawami czarnymi, przedstawienia amatorskie, odczyty popularne w Muzeum przemysłu i handlu, maluczek zaś — a *Gwiazdka*, zabłyśnie, przynosząca wydziedziczonej dziatwie niespodzianki różne i zaopatrzenie w potrzeby wszelakie. Nie zapomniano też i o najbiedniejszych, bo o obłąkanych.

Dla nieszczęśliwych tych, urządzono w szpitalu Jana Bożego koncert muzyczno-deklamatorsko-wokalny.

Ze ściśnionem sercem, patrzyłem na te twarze i czoła pozbawione myśli, czy równowagi myśli. Niektóre rozpromieniały się na dźwięk muzyki i śpiewu i widać było, że coś rozbudzało się we wnętrzu ich istoty, może jakieś wspomnienie przesuwające się przez zwoje czy komórki mózgowe, bo łzy pojawiały się w oczach i duże, spokojne spływały po nieruchomych policzkach. Inni okrzykami dawali wyraz swojemu zadowoleniu; śmieli się najczęściej tam, gdzie śmiać się wypadało, poważnieli, gdzie wypadało poważnieć. Jakies ogromne uczucie litości ogarniało serce, patrząc na wysilek chorego ducha, chcącego pojąć to co grają, śpiewają, mówią; ale wprost przerażenie ogarniało, gdy wzrok obróciłeś na tych obłąkańców, których twarze były przez ciąg cały koncertu nieruchome, bezmyślne, obojętne, zimne i martwe. Patrzyli przed siebie, nie wiedząc nic, co się dzieje; przed wrotami ich słuchu konały tony muzyki i dźwięki pieśni, gdy oklaski grzmiały lub śmiech ich współtowarzyszów niedoli wybuchał — oni nie odwracali głowy, najmniejszym drgnieniem ust czy powiek nie zdradzili uczucia żadnego. Dla nich nie istniało nic — nie — nie... A jednak w mózgu każdego człowieka, jest świat cały — co z ich światem się stało? Gdzie jesteś ty, duszo, tych biednych? czem ty jesteś — nierozwiązana dotąd zagadka?

Myśląc tak, w patrzyłem się w ognisko komina...

Ogień się dawno wypalił — dogasające węgle pokryły pyły białe popiołów, błękitne tylko płomiki przebiegły ruchem węzowym — i zgasły... Pozostały tylko pyły — nie... tylko pyły...

I wstrząsnąłem się mimo woli...

Nie wiem jak jest, ale czuję w głębi duszy protest przeciwko tym — pyłom...

Dziwnym zbiegiem okoliczności, w niewielkich od siebie odstępach czasu, czterech zasłużonych mężów, rozdzielonych ogromną przestrzenią, do wieczności się przeniosło. A wszyscy oni byli dziećmi tej ziemi, w której checielibyśmy, by i nasze kości spoczęły. Do tych nieboszczyków należą: Metropolita ks. Szymon Kozłowski, Antoni Kątski, Edmund Chojecki (Charles Edmond).

O ś. p. ks. Kozłowskim, czytaliście w przedostatnim numerze *Bluszcza* — o dwóch zaś ostatnich mężach, nie wiem czy *Bluszcz* życiorysy szczegółowe poda.

Ś. p. Antoniego Kątskiego niedawno widzieliśmy w Warszawie i słyszeliśmy jego grę mistrzowską, na którą nie a nie nie wpłynęły lata.

Antoni Kątski!

Dla mnie z tem nazwiskiem bardzo wiele wspomnień rozlicznych się łączy, wspomnień z lat najszcześliwszych, bo lat dziecięcych. Na czyich że ustach przed laty czterdziestu nie brzmiało imię znakomitego muzyka? Dwór szlachecki i pałac magnacki za honor sobie poczytywał, jeżeli Kątski próg jego przestąpił i zagrał z łaski. Nie tylko Kijów ale i pomniejsze, prowincjonalne miasteczka Rosyi, jak: Berdyczów, Żytomierz, Łuck i Human, które w ów czas całą pełnią życia żyły — roily się od braci szlachty, z bliższych i dalszych okolic, przybyły na koncert Kątskiego. Dotąd jest dom pewien w Humanu, dom, którego jedną ścianę zdobi karta, pozółkła już, w oprawie, pod szkłem, na której świeci własnoręczny napis mistrza Antoniego, że w r. 1846 w sali tego domu, dnia takiego a takiego, koncert dawał. W domu tym obecnie jest restauracja, której właściciel, każdego, dobrze widzianego przez siebie gościa, prowadzi do „sławnego” pokoju, żeby pokazać ową kartę z napisem Kątskiego. Podczas ostatniej bytności w Warszawie

Piotr Chmielowski.

NASZA KRYTYKA LITERACKA

W WIEKU XIX-ym.

(Dokończenie).

wirtuoza, widząc się z nim wspominałem o tej karcie i czci jaką jest otoczona. Przypomniawszy sobie staruszek dom ten, napis i te czasy dawne i lzy rozrzewnienia stanęły mu w oczach. Dziękował mi za wiadomość udzieloną, ciesząc się jak dziecko, że ta karta żółta, wisi dotąd na ścianie, że nie umarł w pamięci nowego pokolenia, tam, gdzie tak wiele już wspomnień umarło.

S. p. Edmund Chojecki — zawczasie zerwał wszelki stosunek z ziemią ojczystą. Autor „Alkadar” powieści, tak bardzo w swoim czasie czytanej, zamieszkawszy w Paryżu, można śmiało powiedzieć, że więcej przyłgał sercem do swojej nowej ojczyzny, niż — wspomnieniami do dawnej. Jako pisarz polski odzywał się rzadko, bardzo rzadko — pracami zaś swojemi na polu powieści i dramatu zasilal, wzbogacał nawet literaturę francuską i tak się żył ze społeczeństwem francuskim, że gdyby nie nazwisko polskie (choć pisząc po francuzku, podpisywał się Charles Edmond) nie prawie o pochodzeniu jego nie mówiliby. Chojecki nie utrzymywał nawet stosunków z kolonią polską w Paryżu — i tak się oddalił od swoich rodaków, że dopiero śmierć znakomitego pisarza, przypomniawszy go im. Lecz już zanadto był obcy, zanadto daleki, ażeby w sercach zapomnianych współbraci, żal mógł wzbudzić. To też nie wielu polaków poszło za trumną Charles Edmond’a na cmentarz w Bas Mondon i jeden nasz głos tylko zabrzmiał nad grobem, zaznaczając pożyteczny udział wielu polaków w cywilizacyjnej pracy Francji. Dzienniki francuskie poświęciły Chojeckiemu przyjazne i pochlebne wspomnienia. L’Eclair dało podobiznę Chojeckiego i nazwało „dziekanem piśmiennictwa francuzkiego; w romansach jego, nagrodzonych przez akademię francuską widzi „potężną wyobraźnię” a niezwykcyjne zalety pomysłowości w dramatach. Najsympatyczniej odezwiała się o Chojeckim „La Fronde.”

??

Czem jest „Modlitwa?”

Modlitwa—to taka chwila,
Kiedy, jak kwiat się rozchyła
Dusza ludzka, by wziąć w siebie
Dobro wszelkie—kiedy w niebie.
Radość cicha, a na ziemi—
Porywami, myśli swemi.
Duch owładnie—Bożej woli
Gdy je nagnie w każdej doli.
„Modlitwa”—to jest westchnienie
Ciche, szczere—to pragnienie.
Czynów dobrych—to ta chwila
Kiedy czoło się pochyla.
W kornej skrusze, lub podnosi—
W błękit patrzy—o moc prosi...
To opieka nad biednymi,
Noc bezsenna nad chorymi,
Duchów słabych umocnienie,
Żałującym—przebaczenie.
„Modlitwa”—to wyraz wiary,
Niema dla niej granic—miary—
I objawem jest miłości,
I nadziei i wdzięczności.
Czem-że jeszcze ją nazwiemy,
Jaki wyraz dlań znajdziemy?
Wiem! — „Poezją” jest nam w życiu,
Błogą chwilą w serca biciu—
I jest dobra uwieleniem
I do Boga jest dążeniem.

Arista.

„Na takich zasadach wsparty, w takich ramach idący sąd nasz ma też mieć głównie na oku *wiek ów zbliżony*, do którego bezpośrednio wejść mamy... Z bliższego więc lub dalszego stosunku danego pisma lub dzieła sztuki do ideału tego oceniać się i wskazywać musi ich żywotność, ich strony dodatnie, albo ich braki. W krytyce danej gałęzi warunkiem też naturalnie być musi: szczególne zgłębienie istoty i historycznej uprawy tej gałęzi; — lecz pamięć na ów wiek przybliżony i na te ramy sądu, o których dopiero rzekliśmy, to są Pierwsze Zasady krytyki powszechnej.”

Niewątpliwie, są to zasady bardzo ogólne i odnoszą się raczej do osobistości, do umysłu, serca i charakteru krytyka, aniżeli do samego wydania sądu. Cecha ta wszelako łatwo się wyjaśnia dwiema okolicznościami: 1-o że Tyszyński miał na oku nie tylko literaturę, lecz wszystkie wogóle przejawy życia duchowego i materialnego na świecie, 2-o że rozważając człowieka w całości, mówił o zaletach, jakie ma zdobyć, by mógł być dobrym sędzią, ponieważ sądy takiego człowieka muszą być z konieczności słuszne, muszą odpowiadać najwyższym wymaganiom, jakichby względem nich postawić było można.

W wielu pojęciach, w wielu poglądach wyprzedził Tyszyński hr. Leona Tołstoja, który tak samo jak on żąda przedewszystkiem wewnętrznego przetworzenia, udoskonalenia człowieka, ażeby dzieła jego mogły odpowiadać i potrzebie społecznej i ideałowi dobra wogóle. Pojęcie zaś „ducha” człowieka jest w pewnym względzie bardzo zbliżone do tego, co symboliści dzisiejsi rozumieją przez związek ze światem nadzmysłowym. Istotnie „duch” Tyszyńskiego jest źródłem niespodziewanych natchnień, źródłem pomysłów i uczuć przechodzących niespodziewanie, a rozświetlających jak błyskawica tajne zakątki duszy naszej, źródłem wogóle wszystkiego, co się rozumem rozbioreczym wyjaśnić nie daje, a co wszakże jest niewątpliwym faktem. Przytoczę tu objaśnienie samego autora, w którym psychologowie doświadczeni dopatrzają opisu t. zw. „bezwiednej cerebracji”, a mistycy wszelakiego od-cienia — opis wytworów duszy w odróżnieniu od wytworów mózgu. „*Myśl*” — powiada Tyszyński — jest to wprowadzenie pojęcie, ale w swoim rozwiciu tak jest poddana dobowi rozwicia ciała, iż prawie uważać się może za jego wykwit, nie może więc być uważaną za *duch*, ale właściwie jest to tylko ta *część pojęcia ducha*, która stanowi punkt jego związku z ciałem, i będąc ograniczoną ciałem, *jest pod wpływem organów jego*. Że nadto co innego jest myśl a co innego jest duch, dowodem najprzód jest to, iż częśćka nie jest to całość, — dowodem powtórnie jest to, iż są stany tak zwane psychiczne, w których to wszystko prawie, co jest w myśli podległe rozwiciu, jako pamięć, sąd, rozum i t. p., jest w człowieku razem z ciałem uśpione, a ma miejsce lub samo bujanie obrazów, lub obecność pojęcia nieograniczonego więzami ciała t. j. czasu, przestrzeni i t. p. (jak np. w somnambulizmie, lunatyzmie, jasnowidzeniu), — i wreszcie dowodem najwybitniejszym jest to, iż są nieraz wypadki, w których jednocześnie co innego działa *duch*, a co innego *myśl*. Wypadków takich jest wiele, a dosyć dla objaśnienia tu wspomnieć na stany *artyzmu*, *proroctwa* i t. p. Wieszcz i prorok nieraz co innego myśli wyrażać, a co innego wyraża... Każdy owszem, który bliżej obejmuje z myślą, czuje różność tych dwu pierwiastków. Oto np. jakiś miłośnik myśli ukształcił nauką pojęcie, uczynił plan pisma, zebrał pomoce i siada, aby je

kreślił; mimo jednak skłanianie myśli, kreślenie, dzieło nie kreśli się, — co się kreśli, są to tylko jakieś części bez siły i szyku — nie nie pomaga trud, przerabianie, zawsze w końcu wychodzi mu tylko zbiór myśli, zbiór materyałów jakichś, nie dzieło; — innym razem usiada, a od ręki płyną mu harmonijne myśli i karty, powstaje utwór. Podobnych faktów t. j. działania pierwiastku ducha niezależnie od pierwiastku myśli pełne jest owsze życie każdego człowieka, lubo w różnych rodzajach i stopniach. Pierwiastek to ducha np. sprawia, iż w tem dziecku dopiero rosnącym tkwią już takie, nie inne *upodobania*, takie, nie inne *to uczyć*: dobroć lub krnąbrność, bojaźliwość lub śmiałość, ludzkość lub dzikość i t. p. Duch to sprawia, iż to dziecko, które zaledwie mieć zaczyna poznanie, odróżnia już, co jest złe a co dobre, kiedy mu mówią, a kiedy żart i t. p. Duch ów sprawia, iż dalej kiedy wyrasta jednostka ludzka, takie nie inne czuje powołanie, iż nieraz co innego zamyśla mówić, a co innego mówi, iż innego coś spełnia niż to, co już stawszy się mężem zamierzał rozumem”. (Pierwsze Zasady Krytyki Powszechnej, t. I, str. 61—63).

W pojęciu tedy działania zaświatowości na człowieka Tyszyński, zgodnie z innymi naszymi filozofami, znacznie wyprzedził dzisiejszych symbolistów i mityków, w zastosowaniu tego pojęcia o wiele od nich był wyższym. Chociaż bowiem *ducha* cenil najwyżej, nie powiadał bynajmniej *myślą*, rozumem, nie kazał słuchać jedynie i wyłącznie natchnień „ducha”. Bo wogóle nie on ani z potęg duchowych człowieka, ani z przejawów cywilizacyjnych ludzkości nie wykluczał, lecz wszystko w swoim ogólnym poglądzie objąć się starał, jako kolejne lub równoczesne stopnie rozwoju. Przekonany najmocniej, że ludzkość — to jedność, że wszystkie wypadki, wszystkie dzieła ludzkie mają cel jakiś, zmierzający do sprowadzenia kiedyś harmonii powszechnej, nie odrzucał, nie potępiał nauk, ze swoją własną najbardziej nawet niezgodnych. Lubo był szczerym katolikiem, jawnie zaznaczającym wszędzie swe stanowisko, nigdy się nie łączył z tymi, co postępu nie nawidząc, wszelką nową teorię sprzeczną ze swymi poglądami, piętnowali mianem bezbożności. Dwa wybitne przykłady okażą to najjaśniej.

Gdy pod przewodem Henryka hr. Rzewuskiego utworzyła się koterya wyśmiewająca dążenia postępowe, zalecająca bierną rezygnację w imię religii, koterya do której należał i Michał Grabowski, chwalec wszystkich pisarzy tego kółka, wówczas Tyszyński silnie przeciwko jej dążnościom zaprotestował, a protest ten miał tem donioślejsze znaczenie, że wychodził właśnie od człowieka religijnego. Przytoczeniem z pisma śś. ojców kościoła zbijał on twierdzenia tej koteryi, jakoby mądrość, nauki, rozum były to rzeczy zgubne lub też zabawki tylko, jakoby ewangelia nakazywała nam *nie złego nie czyniąc*, oczekiwać spokojnie tych losów, jakie mają przyjść kiedyś na ludzkość. „Zdaniem naszym — pisał Tyszyński — cnota ewangeliczna nie jest *bezczylnosć*, ale jest *czynność*. Cnota ewangeliczna to miłość, to przynoszenie owoców, to uprawianie darów od Boga nam udzielonych. Głównym darem, który otrzymuje człowiek na ziemi, jest bezwątpienia rozum. Wszelka zmiana, która się dzieje wśród ludzi, dzieje się przez *duch* ludzi. Ten rozum — to *duch* — narzędzie i *duch* kierownik... Wiara jest wiele, ale jedną tylko rozróżni i jedną zatrzyma rozum. Nauk wiele, lecz je rozwinię, posunie i połączy nie nierozum zapewne, lecz rozum; w stosunkach są różności i krzywdy, lecz urządzi je, przedzieje, ustali nie nierozum zapewne, lecz rozum. Świat jest walką prawdy i fałszu, lecz go poczęła prawda i wygra prawda. *Działać* — to cel przyspieszać, to wiek wygranej przybliżać.”

A jak w r. 1846 występował przeciwko bierniej rezygnacji i lekceważeniu rozumu, tak w r. 1873 kiedy teoria Darwina, szerzona przez młodzież postępową, stała się przedmiotem drwin i wyklinań ze strony zachowawców, Tyszyński nie dojrzał w niej nie przeciwnego religii ani moral-

ności i nie wahał się twierdzić wobec napastników, że jak teorię Kopernika kościół w końcu przyjął, tak może przyjąć i teorię Darwina.

Wierząc w postęp, do ostatniej chwili kształcił się i zapoznawał Tyszyński z wszystkimi nowszymi kierunkami. A w krytykach swoich był wyrozumiałym, łagodnym, zawsze starającym się wykryć strony dodatnie w rozbieganych dziełach. Nie można twierdzić, iżby w sądach swoich nie kierował się niekiedy uprzedzeniem, ale takie wypadki (np. ocena „Kollokacyi” Korzeniowskiego) były nadzwyczaj rzadkie; Tyszyńskiego słusznie miano za najsprawiedliwszego z krytyków naszych. Jako profesor historii literatury polskiej w Szkole Głównej Warszawskiej, od roku 1866 do 1869 pozostawił najmielsze wspomnienie w sercach słuchaczy; sam dawał im wzór sumienności i pilności, godzinami całymi przesiadując w bibliotece, by raz jeszcze starannie wystudyować pisarzy o których miał mówić. Wy-mowy nie posiadał, męczył się nieraz przy formułowaniu swych myśli, ale pomimo lat już podeszłych takim gorzał zapalem, gdy mówił o naszych wielkościach, że niepodobna było zapalu tego nie podzielać.



Zabawki dla dzieci.

Kiedy kotka chce zabawić swe kocięta, a pragnie zarazem żeby nie igrały bezmyślnie, — to im ulowi mysz i puszcza żywe jeszcze stworzenie między swoje małe, które chwytając mysz za ogon, uszy, zabiegając jej drogę, bawią się wybornie, a zarazem uczą się przyszłego swego zawodu, ćwiczą się w zręczności i oswajają z przedmiotem swego fachu, słowem bawią się zupełnie pedagogicznie jak na dzieci mądrej matki przystało. Kotka siedzi sobie opodal, trochę pomaga niezgrabniejszym potomkom, karci zuchwalszych, podnieca samodzielność nieśmiałych, i mruczy zadowolona, bo widzi, że kociaki bawią się z pożytkiem.

Kiedy jaskółka widzi, że pisklętom już ciasno w gnieździe i pora im na probowanie własnych skrzydeł, bynajmniej nie rozpoczyna z nimi nauki latania, lecz w zabawie, powoli, niby pół-żartem, przysposabia swój drobiazg do lotu. Więc im przynosi jakiego owada lub gąsienicę, daje skosztować, potem usuwa nieznacznie pożądaną przysmak, pisklęta się wychylają, oswajają z wyżyną i przestrzenią poza gniazdem, matka im owad kładzie na jakim zrębie muru lub gżemsu i tam wabiłszy swych Ikarów. Jedno, to drugie, łaskome łupu, już chce wyskoczyć i trzepie słabymi lotkami, ale matka je niespodziewanie wepchnie napowrót, aby do rozmachu przywykły i nauczyły się mierzyć lepiej przestrzeń do przebycia, aż w końcu najmocniejsze z piskląt wyfrunie i siadzie na murku lub poddaszu, zjadając za nagrodę swej zręczności wyborną jakąś muchę. Jaskółka oblatuje gniazdo z radosnym świergotem, że jej pisklęta czynią postępy na drodze żywiowej, takim łatwym, przystępnym sposobem doświadczałym, i z dumą patrzy na kilkoro nieopierzanych brzydaków piskliwie wtórujących jej zadowoleniu. Wogóle w przyrodzie, mali i młodzi przedstawiciele gatunków zazwyczaj są zabawiani rozsądnie, sensownie, bez żadnej szkody dla siebie, z jakimś praktycznym zastosowaniem przyrodzonego ruchu, ukrytych zdolności i przyszłej potrzeby zawodowej.

A dzieci ludzkie, królewski drobiazg stworzenia, jak się bawią? Rozmaicie. Czasem bardzo rozsądnie, praktycznie, rozwojowo dla duszy i ciała. Nieraz jednak, zupełnie niemądrze, bezmyślnie, kosztownie a przytem szkodliwie. Mały rodzaj ludzki obdarzany jest przy wielu okolicznościach

w roku, a mianowicie na „Gwiazdkę” różnego rodzaju zabawkami. Tych zabawek są w tym czasie na całym świecie cywilizowanym literalne składy, zasy, ogromne specjalne fabryki, pracownice, sklepy, wystawy, bazy, kiermasze, cała gałąź przemysłu wyrabia te miliony cacek, przeznaczone na krótkotrwały żywot w psotnych rękach małego człowieka. A jednak, z każdej zepsutej zabawki wylatuje (a przynajmniej powinna ulatniać się) jakaś utajona dusza; staje się częścią inteligencji dziecka, rozwidnia mu w głowie, rozszerza ścieżkę myśli i z zabawki staje się jednym więcej przyborem wychowawczym, wstępnym przyrządem poglądowo-naukowym. Niestety, są też zabawki w których siedzi bezmyślny nonsens, albo pokusa, tkwi zaród zbytku, hazardu, przedwczesnego krytycyzmu lub wprost dziwności niemającego nic wspólnego ze światem dziecinnej wesołości. Te zabawki nie pedagogiczne mniej są u nas rozpowszechnione niż zagranicą, a jeśli się pojawiają, to są okazami sprwadczonymi i nie przyjmują się tak snadnie. Do takich istnych nonsensów i dziwolągów należą najmodniejsze z ostatnich lat zabawki paryżskie, jak np.: uroczystość ślubna, panna-młoda, pan młody, orszak weselny, dróżki, družbowie, świadkowie, mer, ksiądz, cukrowa kolacja i mieszkanie nowożeńców, wszystko w ozdobnym pudle zamknięte ku szybszemu umysłowemu rozwojowi dwunastoletniej dziewczynki! Ale ponieważ w życiu nie tylko jest wesołe lecz także i śmierć, więc w innym pudle jest pogrzeb, karawan, trumna, nieboszyk, karawaniarz, rodzina w żałobie, wieńce, mówca nekrologowy, klepsydra, stypa i t. p. Dalej znów chrzest, rodzice chrzestni, niemowlę, goście i znów uczta; dalej teatrzyk, scena, amfiteatr, kulisy, aktorowie, baletniczki, orkiestra, bufet, dziennikarze i klakierzy. Są też pomysły zabawek wspaniałe jak i te odrobionych, ale niemożliwych do opisywania. Zabawki angielskie są mniej „shocking” ale jeszcze zbyt koczniejsze, przystępne tylko dla ludzi bogatych, a do najbardziej w modzie będących należą: wojska różnego autoramentu, floty, całe armady, wyprawy zdobywcze i niby naukowe, wyścigi konne ze wszelkimi szczegółami nawet z totalizatorem, koleje żelazne z mostami i z wypadkami różnego rodzaju, rzeczy wymyślne, osobliwe i niebywałe, byle zwrócić uwagę tych rodziców, którzy już nie wiedzą czym zabawić i zadowolnić swych kilku- i kilkonastoletnich schyłkowców. U nas takich niedorzeczności po sklepach nie widziałam, ale są też przedmioty zupełnie zbyteczne dla młodzieży a nawet zdrożne. Np. taka zabawka jak „Wielkie Derby”, „Zbieg” którego gonia a on się ukrywa i zmyka jak może; „Skarby Montechrysta”, „Kabała”, „Teściowa” z rysunkami typów warszawskich, „Wodzirej”, to zupełnie nie dla młodzieży igraszki, na dnie których leży niebezpieczne rozbudzanie namietności do gry, do bogactw, do krytyki starszych osób, a w istocie nie tam dowiepnego tak dalece nie ma, korzyści zaś etycznej żadnej. Do zabawek też niebardzo właściwych należą wszelkie karykatury i dziwadełka, niemające pierwotnego wzoru w otoczeniu dziecka, wyobrażenia czegoś co na świecie nie istnieje lub przeinaczanie i zwyrodnianie form rzeczywistości. Takimi są owe tekturowe do poruszania za pomocą nitki: gnoje, potwory, pół-ludzie, pół-zwierzęta, jakieś istoty których każdy członek należy do innej grupy stworzeń; psy w cylindrach, strusie we frakach, koty za dziećmi poprzebierane, maski ludzkie na żabich nogach, i różne tym podobne dziwolagi, niepokojące wyobraźnię dziecka; te kule mające wyobrażać postać ludzką, z cienką u góry szyjką w jaskrawym krawacie, z główką brzydką jak strach; te lalki poubierane za arlekinów, błaznów, kłownów, dzikie, te całe szeregi dziwotworów bez sensu, bez celu, bez estetyki i bez myśli lub z myślą skoszlawioną, powinnyby raz na zawsze zniknąć z liczby zabawek dziecinnych, aby niemi nie tumanić dziecku głowy a pieniędzy nie rzucać jak na wiatr, bo do tego te wszystkie straszdy są bardzo drogie, właśnie dla maszynierji i trudu wyrobienia takiej karykatury. Dziecinna zabawka porządna, i, że się tak wyrażę: sumien-

na, uczciwa, powinna usprawiedliwiać koniecznie warunki swego przeznaczenia, a zatem służyć dziecku albo w celach higienicznych, albo w inteligentnych. Na pierwszym miejscu w szeregu zabawek stoją zatem te, które służą zarazem zdrowiu i wesołemu przepędzeniu czasu. Na zawsze będzie tu główną rolę grała piłka gumowa, wszelkie koła do pędzania i rzucania w powietrzu, kregle, każda gra biegana wyrabiająca ruch, zręczność, zgrabność, towarzyskość, wesołość, bo to wszystko leży w naturze i usposobieniu dziecka i albo bywa rozwinięciem, albo upośledzeniem i zaniedbanem. Przyrządy gimnastyczne należą już nie do działu zabawek, choć są bardzo przez młodzież lubione, lecz wkraczają w dziedzinę stosowanej higieny i tam tylko o nich mówić można. Z innych przedmiotów ulubionych dzieciom, dziewczynki zawsze uwielbiać będą — lalkę, gospodarstwo, chłopcy — konie, żołnierzy, biec i gusta dziecinne w miarę lat rozechodzą się znacznie na różne, właściwe sobie drogi.

Do bardzo właściwych, rozwijających pewną samodzielność, a zarazem trwałych zabawek, należą drewniane klocki, budownictwa, składane domki, gmachy i t. p. wszelkie przybory do sklejania mebelków i budynków, oraz małe komplety z narzędziami stolarskimi, rzeźbiarskimi i introligatorskimi. Dla dziewczynek są małe kołowrotki do przedzenia, masielniczki do robienia masła, żelazka do prasowania, samowarki i przybory do prania. Wszystkie te zabawki w wielkim wyborze i różnorodnych pomysłach widzieć można po naszych sklepach warszawskich, największy jednak dobór przedmiotów ma dawna i znana firma Juliana Müllera (Senatorska 24) oraz sklep Józefa Malanowskiego (Królewska 37). I też jedynie w tych obu sklepach widziałam zabawki o których istnienie bardzo mi chodziło: mianowicie przedstawiające jakąś pracę ludzką, jakiś fach, zajęcie rzemieślnicze. Niewiele jest tych okazów ale są. U Müllera jest np. mała tokarnia, szlifiernia i bormaszyna do robienia dziurek w metalach, wszystko ustawione na podłużnej podstawie i obracane ruchem małego motoru parowego. Przy warsztatach stoją robotnicy i praca idzie żwawo z charakterystycznym dudnieniem fabryki. Jest też w obu powyższych składach udatna szkoła: w dużej klasie stoją ławki, katedra dla nauczyciela, tablica, w ławkach siedzą uczniowie i uczennice, a nauczyciel z książką w ręku, okularami na nosie i ostrą miną stoi w pośrodku. Nie widziałam jednak nigdzie ani małego warsztatu stolarni, ani kuźni, ani młyna, ani żadnej kopalni lub fabryki jak przedziałnia lub huta szklana. W Niemczech niektóre z tych zabawek spotyka się na wystawach sklepów w Wrocławiu lub Norymberdze. Ogromną korzyść przynosi dziecku zaznajamianie się ze szczegółami ludzkiej pracy, z trudem robotnika, z koleją jaką każda rzecz przechodzi zanim do rąk ogółu się dostanie gotowa. Wyrabia to poszanowanie cudzej roboty, łączy sympatycznie bawiące się dziecko z ciężko pracującym wyrobnikiem i budzi myśl do żywego obrotu i kojarzenia wyobraźni na logicznej drodze. Można by młodzieży na zabawkach pokazać wszelkie pracownice i warsztaty, szkółki i ochronki, gospodarstwa i gmachy naukowe. Ale cóż? my zabawki sprowadzamy z zagranicy, dlatego są takie szalenie drogie i takie w typach swoich obce. Wyrabiamy zabawki w kraju, będą tańsze i swojskie, a nowy dział zarobku otworzy się u nas na miejscu. Niech tylko każda stolarnia wyrabia małe stolarnie, ale szczegółowo, dokładnie, ładnie, z narzędziami, izbą, majstrem, terminatorami; niech tokarz wyrabia małe tokarnie; pracownice mebli niech z kawałków zbywających stosów małych sprządek dostarczają, niech magazyny damskie ubierają lalki i t. d. niechaj dzieci w ochronach, w salach zajęć, chłopcy i dziewczyny w Studzieniu, uczennice w Chyliczkach dostarczają różnorodnych drobiazgów zabawkowych, odpadłyby olbrzymi procent dowozu z zagranicy, a cacka naszych dzieci nosiłyby cechę więcej swojską i raz przecie pozbyłyby się stempla niemieckiego, przesady francuskiej, i kosztownej parady angielskiej. Dwie jeszcze poszcze-

BEZ DUSZY

POWIEŚĆ

przez

Cecylję Walewską.

(Dalszy ciąg.)

IX.

Amerykański konsul, Rollsen z Londynu, puściwszy się ostatniej nocy wraz z synem i córką na morze, by zdaleka w oświeceniu błyskawic zobaczyć brzegi wyspy, utonął! Ciało nie znaleziono; ocalał tylko rybak, który ich powiozł. Wyrzucony na skały, dotychczas nieprzytomny, nie umiał dać żadnych objaśnień.

Wiesć ta, rzucona o świcie, lotem strzały obiegła wyspę, budząc popłoch. Ludzie zrywali się ze snu, by spieszyć nad morze dla sprawdzenia strasznej pogłoski.

Czy podobna? Gdzie i jakim sposobem zginęli? Kto wyruszył na poszukiwanie ciała? — pytano dokoła.

Domki rybackie, pałace i wille opustoszały nagle. Kto żył, podążał nad morze, nie wierząc echu strasznej katastrofy.

Groble, dygi, pomosty zaroily się pstrym tłumem. Na wszystkich twarzach drgał przestrah i groza.

Nuna, obudziwszy się koło południa po najbardziej nocy, jaką pamiętano na wyspie, z ust zaplakanej Fanny usłyszała przerażającą wiadomość.

Cztery dni temu jeszcze rozmawiała z konsulem. Przysłał jej bukiet gardenji z napisem: „najpiękniejszej kobiecie.” Miała podziękować mu dzisiaj; nie zdążyła. Czyż podobna, aby zginął w sposób tak okrutny?

Pierwszy raz w życiu szybko, nieprzejrzawszy się w małym srebrnym lusterku, które miała pod poduszką zawsze, wstała z łóżka, narzuciła na siebie biały spacerowy kostium i wybiegła z mieszkania.

Szła prosto na dół, migając wzdłuż ciasnych ulic białą sylwetką, która to pojawiała się, to niknęła za murami opustoszałych nagle chat rybackich.

Nikt nie stał przed drzwiami ich; dzieci nie bawiły się w ogródkach, jak zwykle; starcy nie palili fajek; kobiety nie rozpinały sieci; ludność cała wymarła jakby; roilo się natomiast, jak w ulu, na wybrzeżu.

Nie upłynął kwadrans, gdy Nuna, przebiwszy się przez tłum gwarny, stanęła na dole przy grobli, gdzie zdaleka spostrzegła ojca, przyglądającego się wątlej łodzi, która wraz z dwoma rybakami miała odbić za chwilę od brzegu, by udać się na poszukiwanie ciał zatopionych.

— Jedźmy z nim! — zawołała, trącając go lekko. Brzozowski spojrzał na nią, zdumiony.

— Jechać dziś, gdy najwięksi śmiałkowie pod wpływem wczorajszej katastrofy tracili odwagę odbycia zwykłej wycieczki na brzeg sąsiedniej diuny dla codziennej kąpeli?

— Ależ to chyba żarty!

Ruszywszy ramionami, nie nie odpowiedział; patrzył tylko dalej na przygotowania rybaków. Trzech nurków wsiadło na parę innych łodek, odbijających już od brzegu wraz z pasami i kołami ratunkowymi, które im podano.

Kobiety i starcy kreśliли znaki krzyża za odjeżdżającymi. Słońce rzucało na nich snopy ciepła i blasku.

— Jedźmy, ojcze, tą ostatnią łódką, która za chwilę odbije. Jedźmy koniecznie! — Ja chcę, ja muszę jechać! — wołała Nuna, w której po wczorajszej burzy i trzydniowej melancholji powstała gwałtowna chęć rzucenia się na jakąkolwiek awanturę przygodę.

Brzozowski spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Co jej się stało? — Zwarjowała chyba... Przez trzy dni nie wychodziła ze swego pokoju, leżąc bez ruchu na łóżku lub na kanapie... teraz nagle zachechało się jej wycieczki na morze po takiej strasznej katastrofie... Nie, stanowczo coś dziwnego stało się z nią... O takie wrażenie nie chodzi jej chyba... A może... za mało jej jeszcze dotychczasowych holdów... może okazaniem niezwykłego mężstwa, a raczej dziwactwem rozkaprzonego nerwu chce zwrócić na siebie uwagę tych jeszcze, co jej nie znają i... nie uwielbiają... — myślał, milejąc.

— Jedźmy! jedźmy! — nalegała tymczasem coraz natęczywiej Nuna.

Znudzony jej uporem, Brzozowski wreszcie po raz ostatni ruszył ramionami i odwróciwszy się od morza, rzekł cierpko:

— Jedź sama, skoro ci to do szczęścia potrzebne; ja nie myślę szukać przygód. Pozem wolnym krokiem obojętnego na wszystko, co zajść może, człowieka zawrócił ku przeciwnej stronie wyspy, gdzie zwykle w południowej porze karmił chlebem stado mew zgłodniałych.

Za Nuną ktoś stanął w tej chwili. Obejrzała się mimowolnie i spostrzegła Nordena, który usłyszawszy sprzeczkę jej z ojcem, przystąpił do niej i rzekł z niezwykłą, jak na niego, żywością:

Niebo i morze dziś najzupełniej spokojne; nie ma pola najsłabszej obawy; pewniej, aniżeli kiedykolwiek, można odbyć wycieczkę. Jeżeli pani pozwoli towarzyszyć sobie, służę jej z przyjemnością, proponuję tylko, abyśmy zamiast jechać na poszukiwanie ciał martwych, opłynęli wyspę dokoła. Cel mniej przykry. — Zresztą, jak pani uważa: gotów jestem zastosować się do jej żądania w zupełności.

Nuna spojrzała na niego, zdziwiona.

— Pan tutaj? — spytała, z niedowierzaniem wlepiając w niego oczy.

— Tak, tutaj... przybiegłem wraz z innymi na odgłos strasznej katastrofy... Nie mogę pracować od dni kilku; coś jakby wywiało mi z mózgu wszystkie pomysły... Postanowiłem spędzić parę godzin na morzu: morze to mię orzeźwi...

— Ale... co pani? — zapytała nagle, wpatrując się uważniej w bladą twarz Nuny i silnie podkrążone jej oczy. Pani się zmieniła, o i bardzo nawet... Pani się uduchowiła w przeciągu tych kilku dni, odkąd jej nie widziałem — rzekł wolno, niepuszczając z niej wzroku. — Co pani?

— Nie, nie... byłem trochę cierpiącą, ale to już przeszło — odparła, zwieszając powieki.

I ją uderzył inny niż zazwyczaj wyraz jego twarzy. Jeżeli jednak on znalazł w niej uduchowanie, to ona przeciwnie zauważyła w nim rodzaj niedostrzegalnego dawniej nigdy zmysłowego rozmarzenia.

Oczy miał rozszerzone mniej w sobie wpatrzone, niż dotychczas. Obejmował ją niemi chęwie, natrętnie, ale nie tak, jak wówczas, gdy szukał w niej wzoru twórczych swych pomysłów. Zdawało się, że pije z niej ten urok, którym karmił się wszyscy; że dziś dopiero zaczyna rozumieć i cenić w niej wdzięki prawdziwie ziemskiej kobiety.

Ją dziwnie odurzały te jego spojrzenia. Chwiała się, jak podcięty kłos zboża, a jednocześnie tonęła w słodkim narkotycznym upojeniu.

Chwilę trwało nieme ich porozumiewanie się.

— A zatem — jedziemy... dokoła wyspy, skoro pan nie życzy sobie być przy wydobyciu ciała biednego Rollsen — zawołała, przerywając milczenie i dając znak najbliższemu stojącemu rybakowi, by przygotował się do wycieczki z nimi.

W chwilę potem byli już na morzu. Łódka, odbiwszy od brzegu, zakolysała się kilkakrotnie.

Nuna drgnęła. Na twarz jej wystąpił rumieniec trwogi, przewyciężywszy się jednak, z biernym spokojem spojrzała na blade turkusowe niebo, lekką falą obłoków przysłonięte. Wiała z niego na morze i brzegi ładu wielka cisza, słabym ruchem fal i szelestem wiosel zaledwie przerywana. Ciszą tętnęło równie powietrze, czyste jak kryształ. Drgało, ruszało się i żyło tylko słońce, rubinowe nad zrębami skał, djamentowe w pry-

gólne uwagi zrobić wypada: 1-o. zwierzęta, czy to wyrabiane z drzewa, tektury, masy, swobodne, w zaprzęgu, czy w małych menażeryach, są po części traktowane po macoszemu. Konia poznajemy tam po głowie i szyi, ale całokształt zwierza byle jak wychodzi, owca, baran, koza, osiołek, rogacz, gienza, to tak do siebie podobne, że zaledwie rogi coś niecoś dają do zrozumienia jaki to zwierzę; ptaki lepiej wogóle wypadają, ryb to prawie że nie ma między zabawkami, jak również owadów ani motyli. Ula, np. paski, nie widziałam nigdzie. Świat zwierzęcy, dający tyle modeli do zabawek, jest niedość starannie uosabiany; świat roślinny i mineralogiczny całkiem zaniedbany. A jednak między drewnianymi klockami i tabliczkami mogłyby doskonale figurować modele wszelkiego rodzaju liści, kwiatów, owoców i nasion, oraz kostki wyobrażające krystalizację różnych minerałów, od razu pomalowane bezpieczną farbą danego okazu z napisem, dla wiadomości osoby która się z dzieckiem bawi lub dla starszej młodzieży która już czyta.

2-o. Lalki ubierane są wprost fatalnie, bez gustu, jaskrawo, pretensjonalnie, modnie do śmieszności, a kosztownie do oburzenia. Lalka powinna być tak ubrana żeby ją dziewczynka mogła rozebrać i znów ubrać; ubranie powinno przedstawiać jakiś typ, czy to dziecka, czy panienki, czy zresztą panny dużej, (choć to mniej potrzebne), czy uczennicy w mundurku, czy też dziewczynki wiejskiej, coś co się da określić dokładnie. Wiejskie ubrania dla lalek są najlepsze, ale niechże to będą nie teatralne kostiumiki bez wybitnego rodzaju stroju, lecz niech lalka przedstawia naprawdę: krakowiankę, podolanę, kujawiankę, szlączkę, kaszubkę, litwinę, góralkę, to zarazem dziecko się zapozna ze strojami różnych okolic kraju i nauczy się je rozróżniać etnograficznie. W Niemczech sprzedają ładne, niedrogi drewniane lalki przedstawiające różne kobiety wedle ich zajęć, np. są mleczarki z blaszankami na plecach, żniwiarki ze snopami zboża, pastuszki z gałęzią w ręku, ogrodniczki z grabiami i t. p. My mamy te same typy kobiet pracujących, można z nich brać wzory. Najlepiej jak dziewczynka sama sobie lalkę ubierze, a jeśli ją już dostaje ubraną, to stokroć lepiej niech te sukienki nie będą z jedwabiu i aksamitu, (poprzybijane do lalki gwoździkami!) a za to niech mają guziki i haftki, niech je można zdjąć, aby na wzór jednego ubrania można uzyć drugie. Ubieraniem lalek do sklepów możnaby zatrudnić setki biednych dziewczątek, które siedzą godzinami nad robotą „szydełkową” po szwalniach i zakładach dobroczynnych, a z tego szydełka nigdy żyć nie będą mogły, jak to się nieraz w zniechęceniu same użalają. Szycie dla lalek przyspasabiałoby je do szycia dla dzieci, a matki wiedzą jak to trudno w Warszawie o szwaczkę dla dzieci, co wielką jest niedogodnością wobec drożyzny magazynów z ubraniami i bielizną dzieciinną.

Ten ogólny przegląd gwiazdkowych zabawek tyle mi różnych nasunął spostrzeżeń, tyle odkryło mi się pola pracy dla wielu rąk pragnących zarobku, tyle wykazało mi się niezarażności naszej jeszcze, a zarazem tyle możebności podniesienia swego przemysłu i spożytkowania sił własnych, że z tych cacek, bawidełek, igraszek, które przeglądać mi przyszło, wylał się jaskrawo wniosek: weźmy się sami do zabawek dzieciennych, niech one wyrastają u nas jak swojskie kwiaty, które dziecko najbardziej rwać lubi koło domu, niech nasze zabawki mają zdrowy sens, prawidłowy i estetyczny kształt, pożyteczny, widoczny cel, istotną porządną myśl i rodzinny typ; wtedy dzieci będą się wszechstronnie dobrze bawiły, wiele rąk się zajmie niewyżywaną jeszcze gałęzią przemysłu, a rodzice i wychowawcy poznają wtedy może nieco większego, głębszego zadowolenia wewnętrznego patrząc na wesołą zabawę swych dzieci, niż ta pocziwa, zapobiegliwa kotka zabawiająca i wychowująca swe kociaki z pamięcią na czekającą ich przyszłość.

Szczęśna.

WPŁYW OCEANU ATLANTYCKIEGO na klimat Europy.

Biorąc do ręki i studjując kartę geograficzną, widzi się doskonale, że niema na całej kuli ziemskiej tak daleko w kierunku północnym zamieszkałej i kulturalnej części, jak Europa, zwłaszcza na jej północnej i północno-wschodniej stronie. Porty wybrzeży norweskich aż ku dalekiej północy są dostępne nawet w czasie zimowym, we wrzynających się zaś w głąb kraju, wąskich, stromymi skałami okolonych zatokach, tak zwanych Fjordach w styczniu nie bywa istotnie zimniej, niż na samym wybrzeżu.

W zachodniej Norwegii pod 66° północnej szerokości, jeszcze dojrzewają czereśnie, jęczmień zaś rośnie pod 70° północnej szerokości, a cykoria udaje się w tych daleko ku północy wysuniętych okolicach. Styczeń w Thorshaven jest przeważnie łagodniejszy, niż w Wenecji; dni jednak są najwięcej mgliste i deszczowe. W amerykańskiej stronie Atlantyku znajdujemy wprost przeciwne stosunki.

Tam, nawet w okolicach, leżących o 1000 km. ku południowi, w okolicach Hudsonsu, na tej samej szerokości geograficznej, w Edyburgu w Szkocji bywa ziemia zmarznięta aż do 5 metrów, w lecie zaś taje aż do 1 m. w głąb. Na wiosnę i w jesieni panują tam częstokroć mgły, w zimie zaś powietrze przepełniają lodowate igiełki, powstałe ze zmarzniętej pary wodnej, tworząc świetlane pierścienie dokoła słońca i księżyca. Słońce — tak opisuje anglik I. Ellos — wschodzi i zachodzi w kształcie żółtawo-ognistej kuli; za ledwie zaś zaszło, sklepienia niebios wytwarza tysiące różnokolorowych promieni. W Labradorze, pod tym samym stopniem północnej szerokości, w Szkocji zima rozpoczyna się w pierwszych dniach października — dopiero zaś w maju bywają noce wolne od mrozu. Potem trwa krótka wiosna, ale dopiero z końcem czerwca ustają mroźne noce. W lipcu natomiast i w sierpniu bywa temperatura nieznośnie wysoka, ale po kilku godzinach obniża się nagle, czasami do zera; jeżeli lodowce sterczą przy brzegu. Na początku października rozpoczyna się znowu zima i to nadzwyczaj ostra; w listopadzie panują zimna 35 — 40°, później zaś mróz dochodzi do 40°. Morze pokrywa się na wiele mil daleko warstwą lodu, grubą 3—4 metrów tworząc „Lodowate lasy.”

Im dalej na północ tem mniej gościnne okolice, natrafiamy w Północnej Ameryce. Podczas gdy w Norwegii pod biegunem natrafia się jeszcze na hodowlę jarzyn — to w Ameryce w tym samym okręgu przycinają owe lodowate puszcze, w których zaginęła cała ekspedycja Franklina.

Pod tym samym stopniem szerokości geograficznej Irlandja zakuta jest w silny pancerz lodowy. Jedynie istoty ludzkie, które dotarły w te strony, Nansen i jego towarzysze, znaleźli tu powierzchnię gładką, niby zwierciadło, nie dopatrzili jednak żadnego śladu stopy człowieka. Powierzchnia tego olbrzymiego lodowca, tego płaszcza była pokryta śniegiem zupełnie czystym i bez kamieni. Czy pod tym gładkim pancerzem lodowatym, nad którym szaleje wichura i mróz 40°, ukrywają się wzgórza, czy równina — nie wie nikt; nikt nie wie również, jak grubym jest ten lodowaty pancerz lub jak dawno, od setek czy tysięcy lat okrywa on tę krainę.

To samo panowanie mrozu i śmierci arktycznych okolic północnej Ameryki, spotykamy w północnej Azji, w Syberji. Temperatura spada tu poniżej 40° niżej zera, a rtęć termometru prawie całe miesiące bywa zmarznięta. Nadto panują tu straszliwe burze śnieżne. „Kto sam tego nie przeżył” — opowiada baron von Middendorff — „nie może mieć absolutnie pojęcia o gwałtowności z jaką wichura szaleje nad tą równiną czy złożoną z lasów. Nadzwyczajnego trzeba wysiłku, aby się utrzymać na nogach. Nie powietrze, ale

zmać latarki morskiej, srebrno-złote w wodnych oparach.

Zwolna za gazą mgły oślepiającej niknęły czubki domków rybackich, wieżyczki pałaców i willi, wreszcie białe piaski diuny, odciętej pasem morza od głównego korpusu wyspy.

Lódka, posuwając się coraz dalej, mijając kolejno, jeden po drugim, odłamy czerwonej skały, strzegące wyspy, nakształt olbrzymich wartowników. Wielki „Mnich,” zwężony u podstaw, brylowaty w górze, kołował, jak bąk w miarę, im bardziej fale odpływając lub wracając, zdawały się zbliżać albo oddalać od niego.

Bloki kamieni, tworzące potężne barykady, tamowały przystęp do postrzępionych ścian wyspy. Miedziano-brązowe wierzchołki skał podwodnych podobne do czubków parasoli, stercząc pod powierzchnią fal, zmuszały łódź do lekkiego chwiania się na wąskim szlaku między przysadzistymi ich grzbietami a porwanym brzegiem.

— To rafy morza Północnego. Każda z nich zarówno, jak każdy z olbrzymich słupów, blokujących wyspę, stanowi część dawnej całości, rozrywanej z biegiem czasu przez niweczącą siłę powietrza i morza. Według obliczeń uczonych, za lat tysiąc czerwona skała zwierteje do szczętu, jeżeli jej przedtem nie rozniosą wichry lub nie poszarpią burzliwe fale — tłumaczył Norden, patrząc na Nunę wzrokiem, który dopowiadał:

— Czy ty to rozumiesz, piękna rusalko? Czy zdajesz sobie sprawę z wielkich zawiechrzeń i przeobrażeń przyrody?

Lódka w tej chwili zachwiała się mocno, natrafiwszy na prąd wody, który porywał ją wstecz, gdy należało płynąć wprost przed siebie.

— W tem miejscu, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nastąpiła wczorajsza katastrofa — odezwał się rybak, wiosłując szybko, aby jak najprędzej minąć niebezpieczne wiry.

Już wydostawali się z nich, gdy nagły prąd wody przechylił łódź tak mocno, iż fala obryzgała twarz, włosy i białą kortową suknię Nuny.

Drgnęła lekko, lecz nie wydała najslabszego okrzyku.

Norden schwycił wiosła, rzucone na dno łodzi, jako balast, i zanurzywszy je w wodę kilkakrotnie, dopomógł rybakowi do opuszczenia złowrogiej zasadzki.

— Uratowałem panią od niebezpieczeństwa. Jaka nagroda spotka mnie za to? — spytał, rzucając wiosła i patrząc w oczy Nuny.

Zmęczenie zaróżowiło mu twarz i przyspieszyło oddech. Ręce jego drżały; pierś poruszała się gwałtownie.

Odczepiwszy przypięty do stanika pasowy gwoździk, Nuna rzuciła go w same usta malarza.

Norden schwycił kwiat obiema rękami i uczynił giest, jak gdyby chciał włożyć go w butonierkę popielatego haweloka, ruszywszy ramionami jednak, zawołał: „dawne głupie przyzwyczajenie!” poczem, zatrzymując gwoździk i patrząc w niego, rzekł wolno:

— Jeżeli z jednego podręcznika nauczyliśmy się mowy kwiatów, w takim razie wyrażonego symbolu pozazdrościliby mi wszyscy wielbiciele pani, a ja miałbym pełne prawo domagać się przyobleczenia go w czyn, gdyby...

— Gdybym był wielbicielem pani — czy tak? — przerwała Nuna.

Wpił w nią wzrok, pełen gorących płomyków i odparł leniwie:

— Gdyby symbole nie stały się treścią mego bytu, z którą igrzać mi trudno...

— A jeżeli chodzi nie o igraszkę, lecz właśnie o treść prawdziwą...

Przezroczystą twarz malarza zalał żywy rumieniec. Oczy jego roziskrzyły się namiętnie.

— Teraz musimy siedzieć spokojnie, by nie przewrócić łodzi; gdy przyjdzie pora jednak, przypomnę, że nie żartuje się w mowie kwiatów.. wyszeptał podnieconym głosem, z którego zniknęła nagle akcent nudy i zniechęcenia.

Powieki i wargi Nuny drgnęły lekko. Szept ten, pierwszy raz z ust jego słyszany, odurzył ją, jak mocne wino. Spojrzała na niego z wyrazem sennej, półświadomej pieszczoty.

On poruszył się: chciał wstać z ławki i usiąść obok niej, na znak rybaka, nakazującego spokój, pozostał wszakże na miejscu.

Mijali zdaleka wyżłobione przez wodę u podnóża skały w twardym dolomicie przejścia, pieczary, groty i krużganki, zalane morzem podczas przypływu, teraz — odsłonięte zupełnie i patrzące na nich ciemnymi lochami niby oczami upiórów.

W górze, na pionowym przecięciu skalnej ściany, zamajaczył szereg drobnych zagłębień, podobnych do przestrzelonych grubym śrutem otworów.

Były to siedliska dzikich kaczek, ulatujących w miarę podpływania łódki z głośnie wrzawą i nerwowym trzepotaniem skrzydeł w górę.

Z innych, cokolwiek węższych okienek, wyżłobionych w sąsiednim zrębie skały, wyfrunęło stado mew, rozkołysanych majestatyczną wstęgą, gdy zbite niedaleko nich w jeden długi łańcuch dzikie kaczki tworzyły rodzaj drgającej powierzchni gipiury.

Morze opadało ku linii widnokreśgu wyraźnym zaokragleniem, mówiącem:

— Powierzchnia planety naszej ma kształt kulisty...

Lódka skręciła teraz na drugą stronę wyspy, między grupy skał, czerwieniących się pod wodą, jak krzewy polipów. Niekształtne, ślizkie, brudno-zielonkawe mechy i porosty, zahaczone o czubki ich, kołysały się rytmicznym ruchem fali.

Pełne prądów i wirów przed chwilą, morze tutaj odpływało łagodnie ze słabym szelestem, jak wielka, cicha rzeka.

Rybak wskazał drobne kwiatki, wyrosłe w szczelinach skał. Wątle ich łodygi chwiały się, jak gdyby sztucznie przyczepione do powierzchni dolomitu, w którym próżno szukały pokarmu. Głodne, spragnione, szarpane wiatrem, rzucającym na nie garście kołających muszel, zwracały małe żółte łebki ku słońcu, wierząc iż ono blaskiem i ciepłem podtrzyma słabe ich pędy.

— Może zerwać je? — Tu wejście na skałę bezpieczne — rzekł rybak.

— W takim razie zerwiemy je sami — odparł Norden. Czy pani zechce wysiąść na chwilę? — spytał, zwracając się do Nuny.

Skinęła głową na znak twierdzenia i po chwili wolno wstępowała oboje na zrąb skały po usypiskach drobnych kamieni, przed godziną jeszcze zalanych wodą, teraz — błyszczących w słońcu, jak kawałki miedzi lub bryłki nieociosanych rubinów.

Gdy skręcili za wystającą krawędź skały, która zasłoniła ich nagle przed wzrokiem rybaka, malarz stanął.

— Mogłbym żądać teraz zamienienia w czyn symbolicznej nagrody, jaką przed chwilą dostałem. Pani wie, że pasowy gwoździk, rzucony w same usta, znaczy...

— Gorący pocałunek — odpowiedziała obejmując go wzrokiem, pełnym pólsej pieszczoty.

Schwycił obie jej ręce. Usta jego drżały, twarz pałała.

— Zaczyna pani budzić iskry w popiele — rzekł, przyciągając ją do siebie. — To źle, to niebezpiecznie — ja... ja nie pozwolę igrzać ze sobą...

— A jeżeli nie o igraszkę myślę — odparła, narkotyzując go wzrokiem i głosem, który nabierał dziwnie słodkiej, upajającej miękkości.

Norden spojrzał na nią bystro.

— Może nie rozumiem pani jeszcze; wiem to tylko, że... bawić się sobą nie pozwolę...

Stał chwilę, trzymając w spokoju jej ręce i nie spuszczaając z niej wzroku. Naraz zawołał:

— I ja mogłem patrzeć na ciebie, jak na piękny model tylko! — Ja mogłem pracować spokojnie, gdy twoje oczy i usta tak nęca! — Nie byłem szaleńcem!

Przyciągnawszy ją do siebie, silnie dotknął ustami jej włosów; chciał okryć pocałunkami czoło jej, wargi i oczy, wyrwała mu się jednak.

(Dalszy ciąg nastąpi).

śnieg otacza nas dokoła. Wyrażenie, że własnej dłoni się nie widzi — jest zbyt słabem, bo nawała śniegu niepozwała otworzyć oczów, wciska się do uszów — wlewa obawę uduszenia się, bo gwałtowny prąd powietrza tamuje oddech. W tym niepojętym wirze, któremu się oprzeć niepodobna, człowiek tak ginie, że nie może odróżnić i ostatecznie błdzi. W kierunku obranego celu, postąpić można zaledwie kilka kroków, choćby on był niejmniejszym od domu; w ogłuszającym szumie nie słyszy się ani krzyku, ani wołania.”

Baron Wrangel opowiadając o klimacie w Niżnym Kołymsku, mówi, że tam silna zima trwa przeszło 9 miesięcy. W styczniu mróz dochodzi do 54° niżej zera. Wówczas oddech jest ciężki, dziki zwierz ucieka w najgłębszą gęstwinę leśną. Nie dziwnego, że w północnej Syberji na przestrzeni 10,000 klm. nie spotyka się żadnych osad ludzkich.

A teraz porównajmy z tą krainą zimną i śmierci okolicy północno-wschodniej Europy, wybrzeża Norwegji, gdzie w zimie odbywają się prawdziwe morskie żniwa, a w grudniu i styczniu zbiera się tłum ludzi przeszło 40,000 i oddaje się rybolóstwu, aby bogactwo kilku milionów z głębi morza wyłowić. I właśnie w tej porze zimowej wre tu w całej pełni życie.

W swych „wędrowkach po Szwecji i Norwegji” kreśli bardzo ruchliwe życie panujące na norweskim brzegu, w polarnym okręgu. „Gdy na parowcu” — opowiada — „przejeżdżałem między Lofotami, byłem zdziwiony, widząc wioski, które rozsiadły się na tych małych, prawie zupełnie wegatacji pozbawionych wybrzeżach; około 30,000 rybaków przybywa tu w tej porze roku w olbrzymich łodziach wiosłowych, a handlarze krajowi, którzy przez całe lata prowadzą żywot spokojny, mają pełne ręce roboty: sprzedają kotwiczne sznury, wynajmują mieszkania, są równocześnie gospodarzami i poczmistrzami. Cała masa telegrafistów rozrzucona jest po całej wyspie, przeznaczona do zawiadamiania, gdzie się pokazały ryby morskie, jaka ich cena — do ułatwienia oraz zaspokojenia potrzeb tak olbrzymiej masy ludzi. Zaledwie się wierzy, że tu ruch, tu życie trwa w okolicach, które leżą o sto mil bliżej bieguna, niż okolice północnej Ameryki i północnej Azji.

Te korzyści klimatyczne zawdzięcza północna Europa nie samemu Oceanowi Atlantyckiemu jako takiemu, ponieważ on okrąża również wybrzeża Labradoru i Grenlandji — lecz szczególnej cyrkulacji wody i wiatrom, które tutaj wieją. Cały ten kraniec Europy okrąża potężny strumień ciepłej wody, który od strony amerykańskiej między 40° a 50° północnej szerokości, ocean Atlantycki przerzyna i koło Szpicbergu ginie w Lodowatym morzu.

Nad tym prądem morskim panuje podobny ciepły prąd powietrza, którego wyrazem są ciepłe wiatry północno-zachodnie — te właśnie wiatry mają olbrzymi wpływ na stan ciepłoty prądu wodnego w morzu. W ten sposób jest ta część Europy naturalnie bez przerwy ogrzana, a ciepło którego używa słońce podzwrotnikowe morzu i ziemi, działa dobroczynnie dla tych okolic Europy. Część tych wód ciepłych, które dotykają brzegów Europy, ma swoje źródło w prądzie, który między Kubą a półwyspem Floridą z Meksykańskiej morskiej płynie zatoki. Dawniej mniemano, że wyłącznie te wody nadają ciepło, północno-zachodnim brzegom Europy. Nowsze jednak badania wykazały, że o wiele cieplejsze

prądy łączą się na wschód od zachodnich wysp Indyjskich, łączą się z owym prądem i wspólnie torują sobie drogę przez Ocean Atlantycki ku Europie.

Powietrze nad tym szerokim korytem choć wolno płynącym prądem — płynie od południowego zachodu i przynosi równoważnie ciepło południowych stron na stronę północnego-zachodu, rozszerza je przeto nad całą północno-wschodnią i północno-zachodnią Europą. Prądy morskie i powietrzne razem, działają dobroczynnie na naszą część ziemi i dają jej korzyści klimatyczne, którychby nie miała ze względu na swoje daleko wysunięte położenie.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Panna Florentyna Sahajdakowska, zamieszkała w Kielcach, dokonała wspaniałej roboty ręcznej, w której jednakowoż nie tylko zwinne palce pracowały, ale i artystyczne poczucie barw, dobór umiejętny materiału i wielka sumienność w wykonaniu całości przedmiotu oraz jego szczegółów. Jest to wielki, piękny sztandar cechowy zamówiony u p. Sahajdakowskiej przez zgromadzenie czeladzi nożowniczej i szpadniczej w Warszawie. Sztandar jest cały z amarantowego adamaszku po obu stronach. Strona główna przedstawia św. Michała Archaniola w pół zbroi rycerskiej, pokonywającego szatana w symbolistycznej postaci smoka; tłem tej sceny jest kraj ziemi i nieba, brzeg wody, oblane światłem księżycowo świtowem, a pomimo trudności roboty jedwabiami, perspektywa tego tła krajobrazowego wypadła wyraźnie i odrazu rozumie się i widzi, gdzie się rzecz odbywa. Dobór jedwabiu, od granatowego do jasno-lazurowego, z odcieniem seledynu i błękitnawo-zielonej barwy, oraz kierunek ścięgu płaskiego, holbeina, gałązkowego i punktowanego doskonale zastosowane, czynią ludzkie niemal wrażenie malowidła i dopiero przy pilniejszym rozpatrzeniu haftu z bliska, rozróżnia się ściąg i uznaje całą cierpliwość roboty igłą. Poniżej głównego obrazu jest bogata ornamentyka między którą wije się misternie niebieska wstążka, a niżej jeszcze, jest napis złotymi haftowanymi literami, objaśniający jako ten sztandar jest: Sprawiony za starszego czeladnika B. Daszkiewicza oraz majstra gospodniego M. Filarowskiego. Na stronie odwrotnej, w ornamentyce złotego haftu znajdujemy napis: Zgromadzenie czeladzi nożowniczej i szpadniczej w Warszawie 1900. Do tego sztandaru cech ma sprawić stosowny drzewiec; przy najbliższej uroczystości malownicza robota panny Sahajdakowskiej ukaże się oczom tłumowi w kościele lub na ulicy w procesji, a wtedy, w słońcu i w dużym świetle uwidoczni się

najlepiej piękna chorągiew cechu szpadniczego. Szkoda wielka, że p. Sahajdakowska nie umieściła swej pracy na jakiej wystawie artystycznej, bo szersze koło osób, a mianowicie kobiet, miałyby być sposobność obejrzenia wyjątkowo ładnej roboty, a również i ta byłaby korzyść, że dowiedzianoby się o umiejętnej pracowniczce mieszkającej na prowincji, skąd tak mało miewamy wieści o działalności kobiecej na jakimkolwiek bądź polu. I ja nie byłabym wiedziała o cierpliwej i utalentowanej przadce, gdyby mi los przyjazny nie był rozwinął przed oczami wspaniałego sztandaru o którym szerzej pragnęłam się rozpisać właśnie dlatego, że go nie miano sposobności obejrzyć w Warszawie, a w chwili gdy nad falą głów ludzkich rycerski Archaniół się ukaże, wiele oczu podniesie się ku pogromcy smoka, ale drobnutko haftowanego nazwiska pracowniczki nikt się na chorągwi nie doczyta. Dla tego też z tego miejsca przesłać musimy pannie Florentynie Sahajdakowskiej życzliwe słowo uznania i zachęty do dalszej pracy w obranym zawodzie. Niewątpliwie w niejednym mieście na prowincji, w niejednym zakątku oddalonym kraju, pracują ręce i umysły kobiet, a do nas echa tej działalności tak skąpo dochodzą, że nieledwie czasem jakaś okoliczność ujawni nam okazy ich zatrudnień lub zasługę ich dobrego wpływu w okolicy. A jednak, byłoby bardzo pożądanem i pożytecznem, tak dla pracowniczek na prowincji, jak dla dokładniejszego przeglądu działalności niewieściej, gdybyśmy częściej otrzymywali szczegółowe wiadomości: jak i gdzie kobiety nasze pracują, na jakie napotykają trudności, warunki, pomoce, jak sobie radzą i do jakich dochodzą owoców w swoich zabiegach. Nie wystarcza nam bowiem domyślać się tych usiłowań i sprzyjać im ogólnikowo, wołelibyśmy znać bliżej pracowniczki, liczyć ich szeregi, sumować ich czyny i na takiej dopiero podstawie cieszyć się ich powodzeniem.

— Redakcja „Słownika języka polskiego,” którego zeszyt piąty niedawno opuścił prasę, prosi nas o zawiadomienie, że po wyjściu zeszytu VI cena Słownika podniesiona będzie do rub. 16 za całość, rub. 4 za tom, 80 kop. za zeszyt. Kto więc pragnie korzystać z ceny dzisiejszej (10 rb. za całość), winien pośpieszyć się z prenumeratą. Adres „Słownika:” Warszawa, Szpitalna 10 (Administracja „Gazety Handlowej”).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: *Anna Maulever*. Powieść, przez Jotę. Przekład Z. S. Arkusz 2.

OD WYDAWCY.

Bluszcz wychodzić będzie w roku przyszłym pod dotychczasową Redakcją i na tych samych warunkach,

Szanownym prenumeratorom zamiejscowym, przypominamy wcześnie nadesłanie zamówień, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: *Kult prawdy*. Podług dr. Melegari, streściła P. Grodzieńska (dalszy ciąg). — *Przy kominku*. (Pogawędka), przez ?? — *Czem jest „Modlitwa“*, przez Arista. — Piotr Chmielowski. *Nasza krytyka literacka* w w. XIX-ym (dokończenie). — *Zabawki dla dzieci*, przez Szczęsną. — *Bez duszy*, powieść przez Cecylję Walewską (dalszy ciąg) — *Wpływ Oceanu Atlantyckiego na klimat Europy*. — *Kronika działalności kobiecej*.

Dodatek obejmuje: *Anna Maulever*, powieść przez Jotę. Przekład Z. S. Arkusz 2. — Przegląd mód 33 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozyeya obiadu.

Opis rycin w № 49.

(dokończenie).

Paltocik obcisły ozdobiony oszyciem i futerką.

Rycina № 2 w Bl. № 49.

Paltocik z czarnego sukna na jedwabnej podszewce cały oszty w deseń płaskich zębów czarnym sutaszem. Stożący kołnier i przód żakietu obłożony jest futerką.

Suknia z kaszmiru.

Rycina № 11 w Bl. № 49.

Tabl. kr. fig. 1—3. Zmniejszone części spódnicy.

Prześliczną i bogatą jest przedstawiona na naszej rycinie toaleta z jasno popielatego sukienego kaszmiru ze spódniczką lekko falującą się i paskiem z matowo-złotą klamerką z tyłu. Na przodzie ma pas haftowany, takież sam haft ozdobi stanik i rękawy. Prócz tego stanik ozdobiony jest karczkiem układanym w zakładeczki.

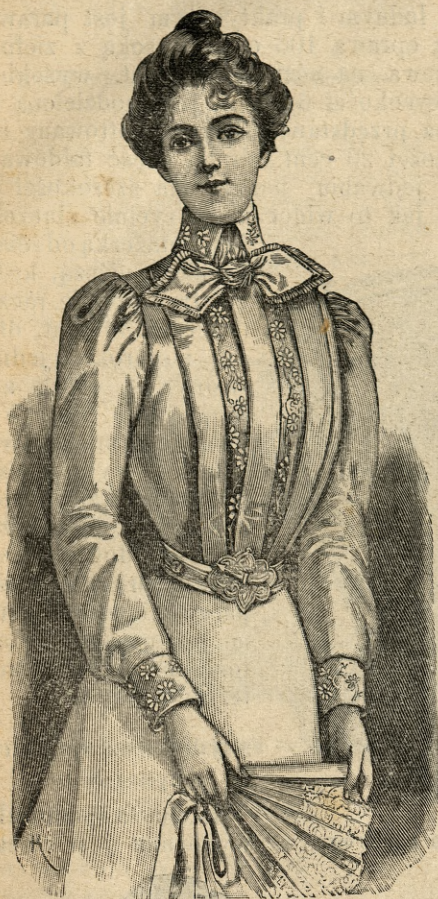
Opis rycin w № 50.

Sukienka dla dziewczynek od 12—13 lat i od 9—10 lat.

Rycina 5 i 6.

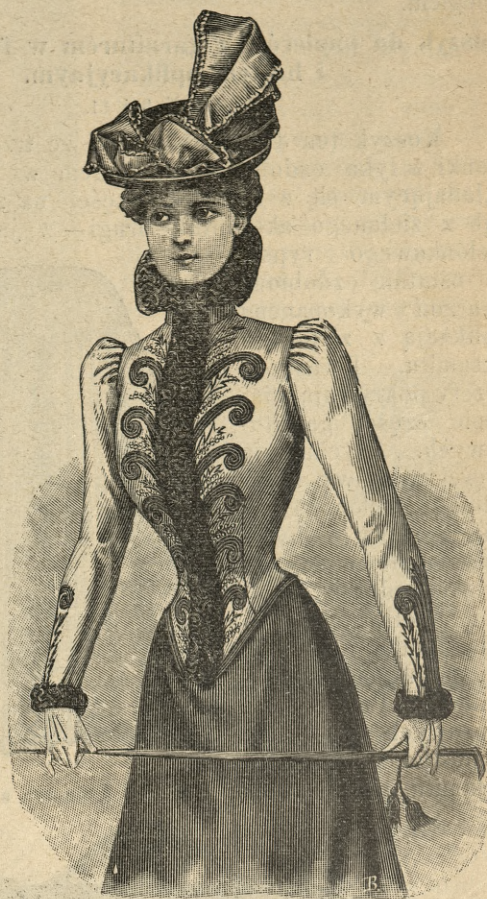
Skromna ta sukienka przedstawiona na ryc. 5 jest z tabakowego koloru sukna przybrana tegoż koloru w kraty białe aksamitem, spódnia spódniczka obłożona aksamitem, na nią spada tiunika z rozporkami po bokach przybrana przestębnowanymi pliskami z materiału i futerką, przy z tyłu zapinanym staniczku między karczkiem i częściami sukna — widoczna jest kamizelka z aksamitu, przybranie stanowi oszycie z futerka, toż samo przy mankietach i stojącym kołnierzyku. Pasek aksamitu z brązową klamerką.

Ryc. 6 przedstawia kostjum składający się ze spódniczki i żakieciku z niebieskiego koloru foulé, spódniczka obłożona futerką i aż do bioder przestębnowana jasno-niebieskim jedwabiem; bluzeczka przedstawiona na ryc. 14 z niebieskiego w białe



№ 1. Bluzka koszulowa z malowaniem.

(Krój i opis odwr. str. tabl. Fig. 110—118).



№ 2. Żakiecik przybrany wyszyciem i futerką.

(Krój i opis odwr. str. tabl. Fig. 42—48).



№ 3. Ubranko dla chłopczyka od 6—7 lat.

(Krój i opis pierw. str. tabl. Fig. 34—41).

№ 4. Ubranko dla chłopczyka od 13—14 lat.

(Krój i opis pierw. str. tabl. Fig. 26—33).

№ 5. Sukienka dla dziewczynki od 12—13 lat.

(Krój i opis pierw. str. tabl. Fig. 26—33).

№ 6. Sukienka z żakiecikiem i bluzką dla dziewczynki od 9—10 lat.

(do tego ryc. № 14).

№ 7. Kostjum z żakiecikiem i bluzką dla panienki od 14—15 lat (do tego ryc. № 15).

(Krój i opis odwr. str. tabl. Fig. 70—86).

№ 8. Sukienka dla dziewczynki od 7—8 lat.

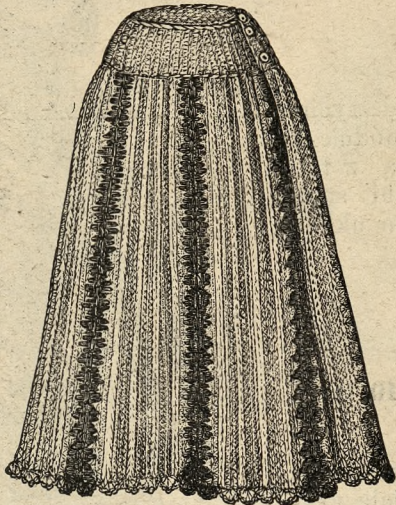
(Krój i opis odwr. str. tabl. Fig. 101—109).

kraty wełnianego materiału dopełnia całości; luźny zakieciak obłożony futerkiem i po brzegach i na rękawach przestębnowany zapina się na guziki z perłowej masy. Kohnierzyk wykładany wycięty wyszyty jasno niebieskim jedwabiem i kordonkiem aplikacyjnym ścięciem.

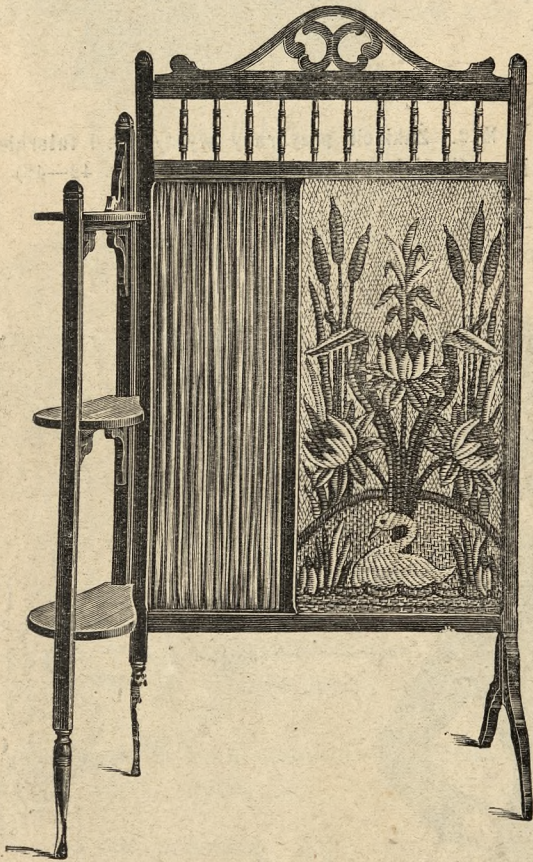
Koszyk do papierów z garniturem w formie zębów i haftem aplikacyjnym.

Rycina № 9 i 11.

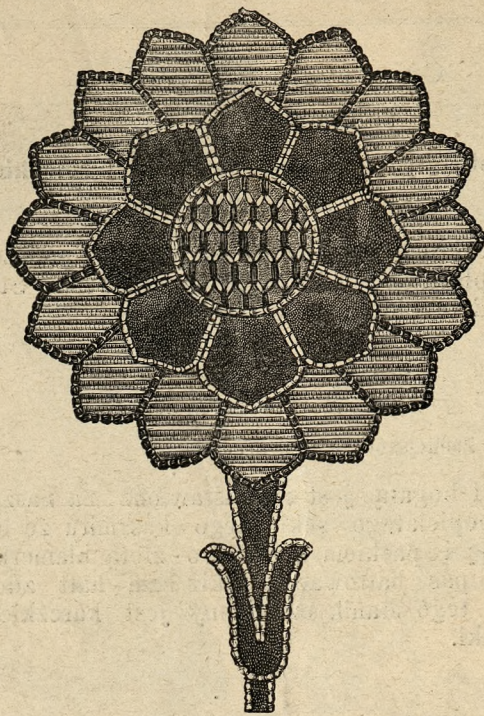
Koszyk ten 40 cent. wysoki ze trzciny lub plecionki z łyka ozdobiony garniturem w formie zębów składającym się z czterech części na zmianę jeden zęb z zielonego aksamitu—drugi—z jasnego szarozielonkawego rypsu, te ostatnie ozdobione figurami wykonanymi aplikacją z zielonego aksamitu. Kwasty i rozety pokrywają wiązanie części garniturów. Wycina się części kwiatów z aksamitu, przykleja na formie z rypsu i obszywa kremowym jedwabnym kordonkiem i ciemno oliwkową filozełą, środek wyszywa się złoto-żółtym jedwabiem. Przy zębach rypsowych robi się wypustka z zielonego aksamitu, a przy aksa-



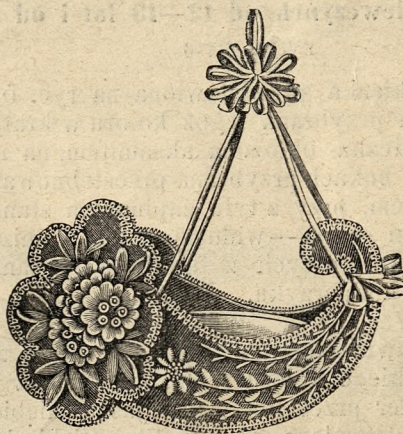
№ 10. Spódnica szydełkowa.



№ 13. Parawanik kominkowy w angielskim guście.



№ 9. Kwiat do kosza do papierów do ryc. 11.



№ 12. Podstawka na zapalki.



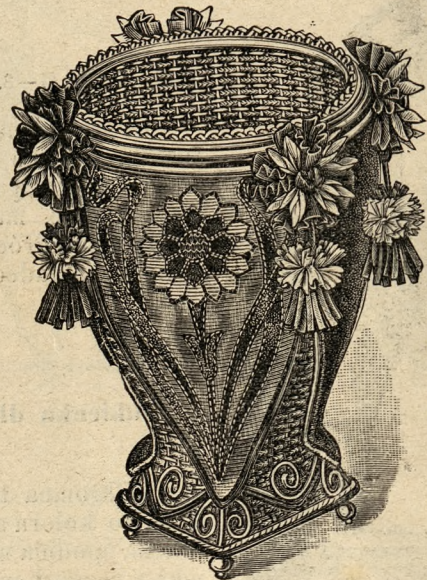
№ 14 i 15. Bluzki do rycin 6 i 7.

naokoło złotym sznureczkiem, a do zawieszania służy złoto-żółta jedwabna wstążka.

Parawanik kominkowy w angielskim guście.

Rycina № 13.

Szczególnie ładnym i praktycznym jest parawanik kominkowy z oprawą 106 cent. wysoką z zielono bejcowanego drzewa na nóżkach 20 cent. wysokich. Ścianka mająca wysokości 64 cent. jest podzielona na dwie części; jedna przedstawia ślicznie haftowany rysunek, ma szerokości 29 cent., druga część fałdowana ze złoto-żółtego jedwabiu pongé ma szerokości 18 cent. Parawanik jak to widoczne na rycinie złączony



№ 11. Kosz do papierów.

jest z etażerką od ścianki nieco niższą, która ma trzy stopnie, raczej deseczki 30 cent. długie, a szerokie z jednej strony 14 cent., a z drugiej—5 cent. Wykonanie rysunku jest moźolne, wyszywa się na mocnej kanwie rozmaitego koloru przędzą. Fałdowana materia z drugiej części parawaniku obwieszona jest paskiem z kartonu obciągniętym materialem.

Szydełkowa spódnica.

Rycina № 10.

Ładna ta spódniczka wykonana jest cienką



№ 16. Płaszczki dla dziewczynki od 4—5 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Fig. 21—25).

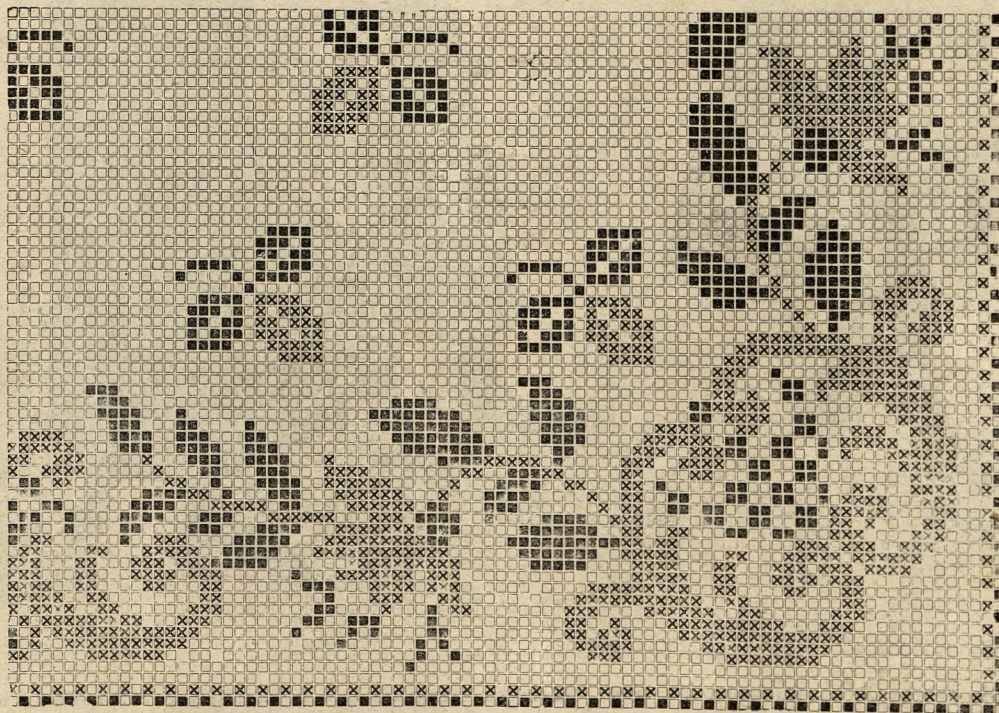
№ 17. Płaszczki dla chłopca od 2—3 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Fig. 15—20).

mitnych—z żółtawego sukna; na górnym brzegu są dwie pliski ze sukna wąziutkie i w środku jedna szersza z aksamitu; teraz dopiero przytwierdza się niewidocznym ścięciem zęby i przyszywa kwasty, które są z wąskich zielonych pasków ze sukna przymocowane na kremowej riuśce ze sukna z węzłkami z aksamitu.

Podstawka na zapalki.

Rycina № 12.

Dla wykonania tej podstawki z podkładką z blachy wykrawa się dwa kawałki, na których wyszywa się deseń jedwabną filozełą, później zezepia się te części razem, wykrawa sześć kwiatków z poziomkowego koloru filu i dziesięć listków z zielonego i przymocowywa się je podług ryciny, następnie obszywa się



№ 18. Wzór wyszycia do ryc. 25 w № 49 B1.

białą wełną z siedmioma pasami z lila wełny, pas formą karczka z białej wełny.

Schowanie na noże i widelce

Rycina № 19.

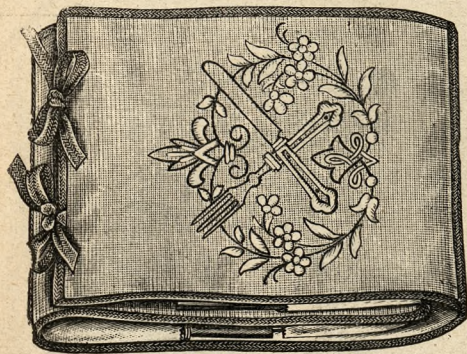
Bardzo praktyczne jest na 12 par noży i widelcy przeznaczone schowanie z popielatego wełnianego rypsu z podszewką z jasnej mocnej skórki. Wycina się z materiału i ze skórki kawałek 93 cent. długi—28 szer., na materiale wykonywa się podług ryciny rysunek czerwona i białą przędzą. Później wkłada się skórę 18 cent. od prawego poprzecznego brzegu oddaloną 18 cent. od lewego poprzecznego brzegu przykłada się i przestębnuje pasek ze skórki powycinany długi 33 cent. 12 1/2 szer., w taki sposób, aby tworzyło osiem futerałków, jedno z nich są gładkie,

a drugie przeznaczone na widelce z faldką. Następnie przymocowywa się podszewkę z materiałem, obszywa całość naokoło wełnianym sznurkiem, a na poprzecznym brzegu przyszywa się końce do wiązania.

Kołderka na łóżko dziecinne.

Rycina № 20—33.

Kołderka 136 cent. długa, 90 cent. szer. z białej baji na jasno niebieskiej jedwabnej podszewce, z której jak widoczne na rycinie zrobiony jest po prawej stronie kołderki szlak naokoło. Tło kołderki haftowane łatwym ścięciem przedzą nie-

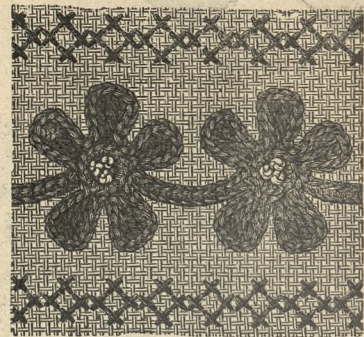


№ 19. Schowanie na noże i widelce.



№ 20. Kołderka na łóżeczko dziecinne z łatwym haftem.

którego brzeg z drzewa i tylna strona lekko jest podwatowana i obciągnięta kremową jedwabną moiré wyszytą złotym sznurkiem i pikotami złotymi jak to widoczne na rycinie 27. Na śliczną poduszczykę przedstawioną na rycinie 28 wycina się z moiré trzy części: kremowego koloru, różowego i zielonego, później wyszywa się deseń złotą nitką, listki zieloną a kwiatki żółtą na części kremowej, na różowej czerwona, a na zielonej—lila wążutką wstążeczką, później podwatowywa się lekko karton, obciąga wyżej opisanymi częściami



№ 21. Część haftu do ryc. 25.

bieską i żółtą przedstawia wodne rośliny z liśćmi, a naokoło wyszyty jest wązki szlaczek.

Toaleta balowa z jedwabiu.

Rycina № 24.

Strojna ta toaleta z jasno różowej satin liberti składa się ze spódniczki powłóczystej i wierzchniej sukni, która z przodu sięga $\frac{2}{3}$ długości sukni, a z tyłu końca. Spódniczka na widocznej części oszyta jest plisowaną falbanką z kreppchiffon. Z tyłu zapinana wierzchnia suknia wycięta jest na brzegach w zęby i oszyta riuszką z gazy. Nad riuszką wykonany jest haft stalowymi pailietkami. Staniczek kwadratowy wycięty przybrany haftem i riuszkami z gazy, na rękawach patki z riuszki. Naokoło szyi bandeau z różowego aksamitu spięte z tyłu stalową agrafką.

Serwetka szydełkowa.

Rycina № 25 i 21.

Serwetka białego z czerwonym koloru 40 cent. duża; najpierw robi się tło wiązane, później wyszywa tło i oszywa szlaczkiem szydełkowym.

Kaftanik szydełkowy.

Rycina № 26.

Praktyczny ten kaftanik robiony jest szydełkiem, u szyi i w pasie nawleczone jest białą atlasową wstążeczką.

Ręczne lustro i poduszczyk na igły.

Rycina № 27 i 28.

Śliczne jest lustro toaletowe 13 cent. szer.



№ 22. Toaleta balowa z lekko marszczonym stanikiem.
(Krój i opis pierw. str. tabl. Fig. 1—14).

№ 23. Toaleta balowa z haftem.
(Opis odwr. str. tabl.).

mi i garniruje naokoło podwójnym nagłówkiem z jedwabnego żółtego repsu. Rączka zrobiona jest z mocnych grubych podwójnych nici, ogarnięta riuszką z zielonej moiré.

Modne rękawy.

Ryciny № 29—32.

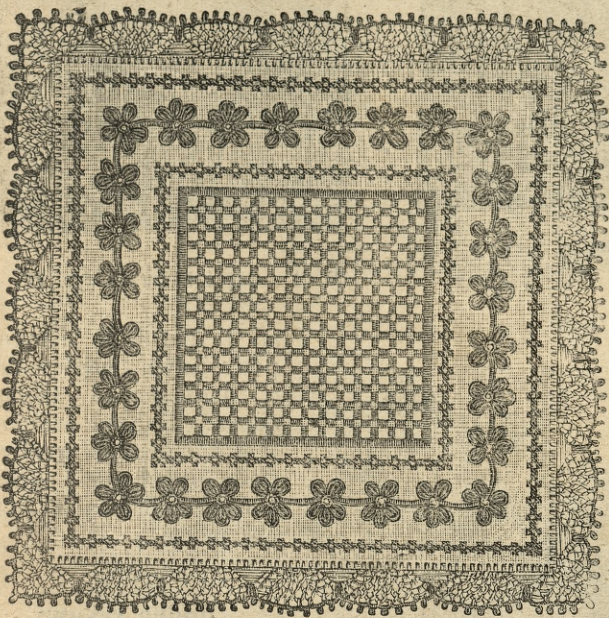
Rycina 29 przedstawia rękaw stosowny do angielskich sukien; ma u góry dziewięć zaszepek, które z wewnątrz tworzą kontrafaldki, przy rękę oszyty jest aksamitkami jasnymi. Ryc. 30 przedstawia rękaw do toalet wizytowych z jedwabnej materji, przybrany u góry i u dołu plisowaną falbaneczką z gazy i ozdobami z aksamitu objętemi pasmanteryjnym szlaczkiem. Na rycinie 31-ej widzimy rękaw do wełnianych i jedwabnych sukien przybranych punktowanym aksamitem, wzdłuż wstawionego aksamitu materiał rękawa wycięty w zęby i prześtebnowany. Rycina 32 przedstawia zupełnie gładki rękaw stosowny do żakietów i kostjumów, u góry ma zaszepek, które w formie paska prześtebnowane są jedwabiem.

SOS Z JARZYN.

Ćwierć funta świeżego masła rozpuścić na ogniu i zaprawić dwoma łyżkami mąki dobrze rosolem i zagotować. Następnie zdjąć z ognia, dodać dwa rozbite żółtka, trochę soku cytrynowego,



№ 29—32. Modne rękawy. (Opis odwr. str. tabl).



№ 25. Serwetka z wiązanym ścięciem i szydełkowym. (do tego ryc. 21).

przelać przez gęste sito, włożyć kawałek tribulki, pietruszki, kilka pieczarek i nieco estragonowego octu, to wszystko wymieszać i gotować przez 20 minut. Przed wylaniem w sosjerkę — włożyć pół łyżki serdelowego masła, wymieszać i podać na stół.

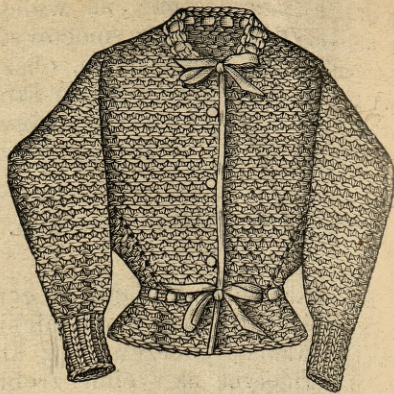
GŁOWIZNA NA ZIMNO Z PIECZARKAMI.

Półwę głowizny czysto przysposobionej wyjąwszy oko, skórę z uszu i podniebienia — moczyć przez 12 godzin. Potem kości porąbawszy ułożyć w duży mocny garnek lub rądel, osolić, włożyć dużo rozmaitej jarzyny związanej razem — nalać wodę i gotować 6 godzin szumując i dolewając wody, ogień ma być wolny. Obrąć sporo pieczarek w osobne naczynie i nalać szklankę wina białego, trochę osolić i niech się kwadrans gotuje — lub więcej — jeżeli pieczarki jeszcze suszone, potem odlać wino do garnka gdzie się gotuje głowizna. Gdy już mięso ugotowane wyjąć kości, pokrajać mięso w drobne kawałki opieprzyć mocno i ułożyć w ładnej foremce przekładając warstwami pieczarek — tak aby na samym spodzie i na samym wierzchu foremki było mięso, zalać wygotowanym roselem, którego nie powinno być dużo, przykryć małym talerzykiem i przycisnąć czemś ciężkiem — zostawiając do drugiego dnia aby zastygło dobrze, potem nie

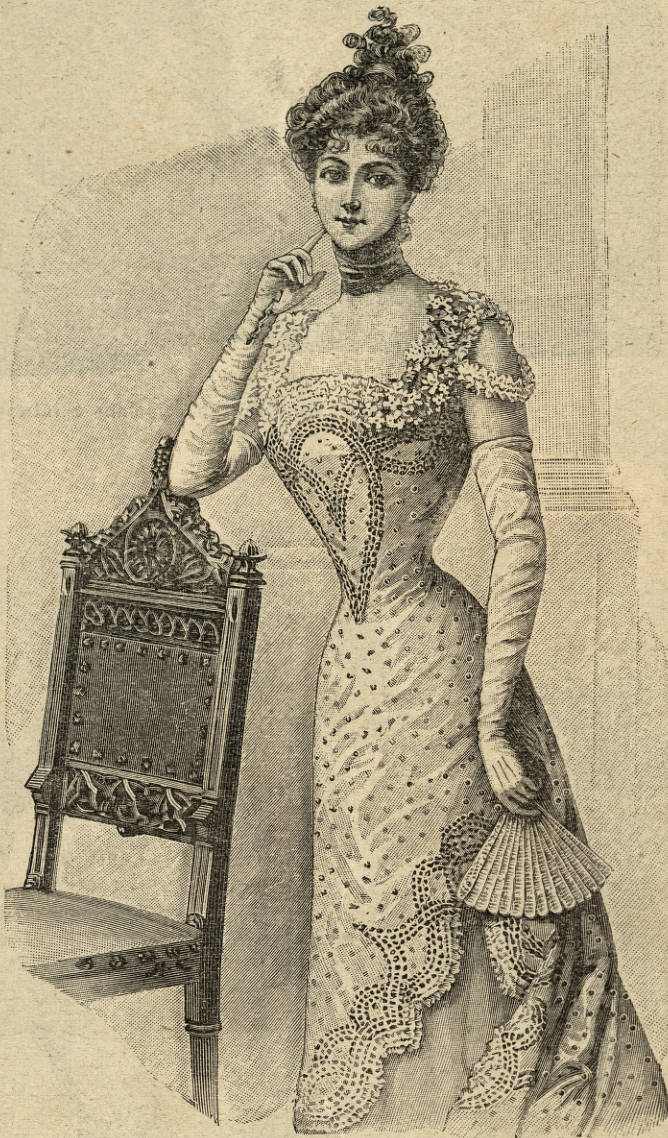
psując formy wyłożyć na półmisek — podać na zimno do ostrych sosów.

LEGUMINA Z JABŁEK.

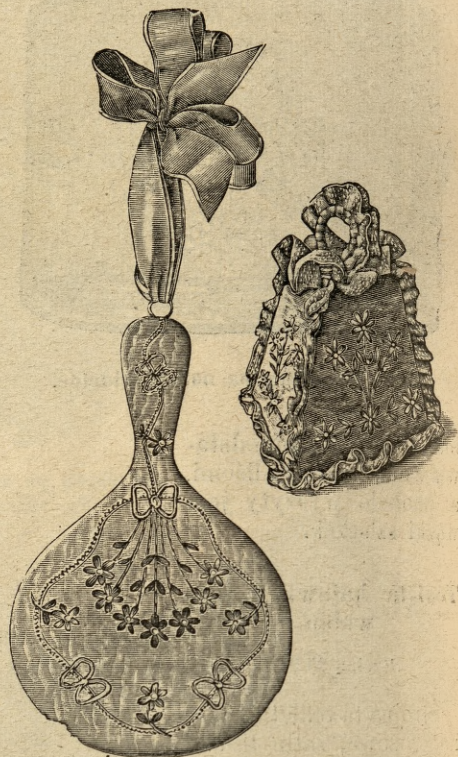
Dziesięć jabłek dużych winkowatych ułożyć w rondel i upiec a jak będą miękkie przefasować przez sito. Dodać pół funta cukru, sok z jednej cytryny, pianę z dwóch białek. To wszystko razem utrzyć w donicy doskonale, ułożyć piramidalnie na półmisku, zarumienić przez 10 minut w piecu, wyjąć, obłożyć konfiturami, kruchami ciastkami lub biszkopcikami i wydać na stół. Proporcja na 6 osób.



№ 26. Kaftanik szydełkowy.



№ 24. Balowa toaleta z jedwabiu.



№ 27 i 28. Ręczne lustro i poduszeczka do rycin.

Odpowiedzi od redakcji.

Pani Romanie B. w Kijowie. Najmodniejszym materiałem na ślubne suknie jest obecnie gładkie białe sukno. Druchny mogą mieć również toalety sukienne kolorowe.

P. M. X. B. w Drohiczynie. Sposób prania flanel zamieścimy.

Pani Zofji w Rud... Używanie higienicznego gorsetu jest w tym wypadku niezbędne. Każda większa fabryka gorsetów wykonywa obecnie takie gorsety zaopatrzone w podobne metalowe sprężyny, zastępujące twarde brykle i fiszby.

P. Reginie N. Każde dłuższe cierpienie skóry należy poddać leczeniu u lekarza specjalisty. Wszelkie specyfiki bez określenia choroby zastosowane na chybił trafił mogą być szkodliwe.

Obiad na Niedzielę.

1. Rosół z parzonemi kluskami.
2. Paszteciki w kruchem cieście.
3. Sandacz po parysku.
4. Kapusta włoska faszerowana.
5. Indyk kasztanami nadziewany.
6. Merengi ze śmietaną.



№ 33. Część haftu do ryc. 20.